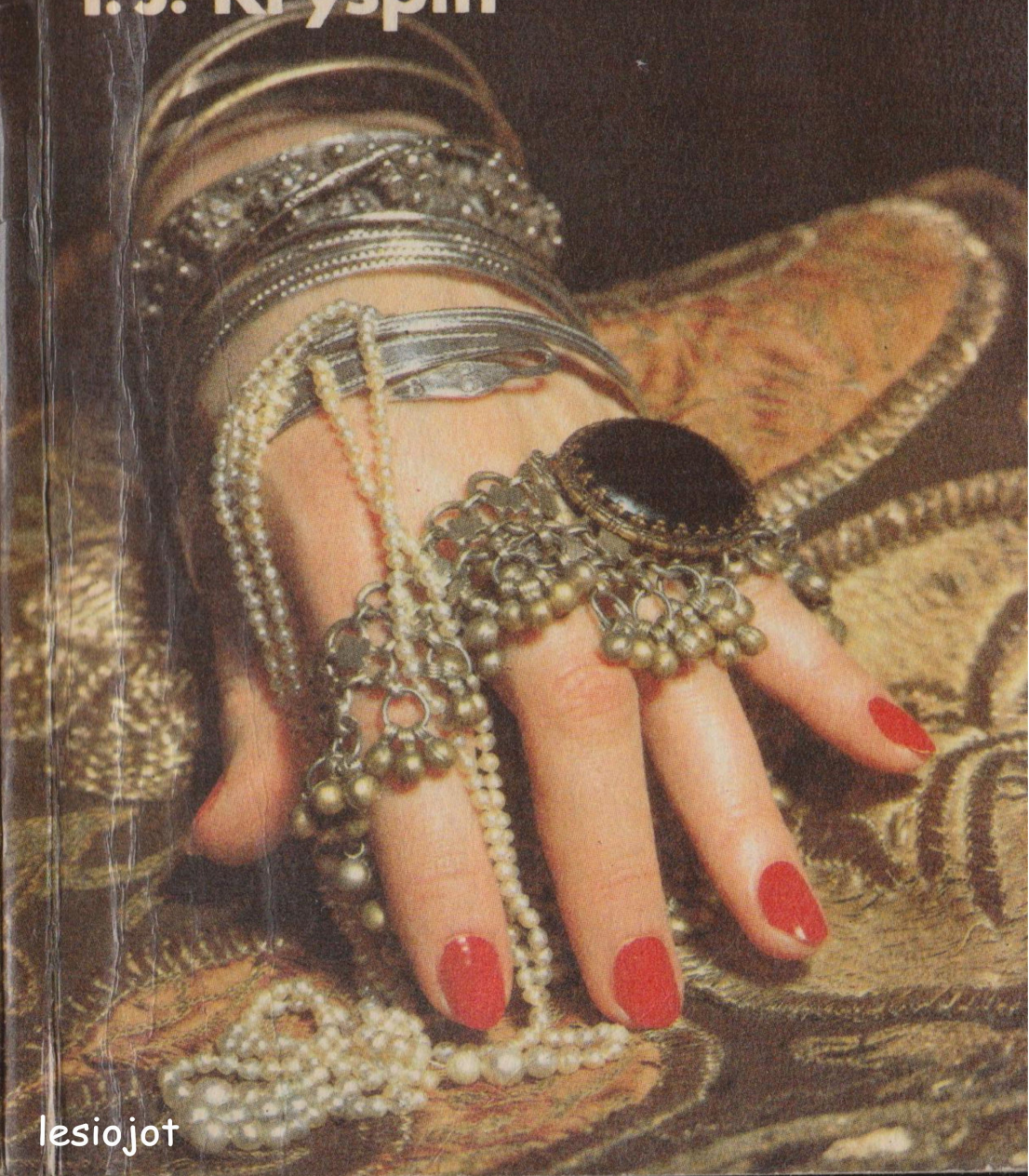


Platynowa jaszczurka

I. J. Kryspin



I. J. Kryspin

Platynowa jaszczurka



Krajowa Agencja Wydawnicza

Porucznik Janusz Kulik pół czuwał, pół drzemał. Dyżur w Komendzie Wojewódzkiej przebiegał wyjątkowo spokojnie. Nic dziwnego, w taką psią pogodę nawet pijaczkom, przysparzającym regularnie największych kłopotów, nie chciało się rozrabiać.

- Nudy na pudy - westchnął porucznik, poprawiając się na niewygodnej kozetce, zdobiącej pokój oficera dyżurnego.

Już mijał drugi rok, jak Kulik, po ukończeniu Szkoły Oficerskiej MO w Szczytnie, został przydzielony do wydziału śledczego w poznańskiej komendzie. Wtedy wydawało mu się, że złapał Pana Boga za nogi. Marzyły mu się wielkie sprawy, skomplikowane śledztwa, lecz szybko przekonał się, że praca oficera śledczego nie przypomina w najdrobniejszych nawet zarysach pracy słynnego komisarza Maigreta czy choćby jednego z jego inspektorów. Za to do złudzenia przypominała pracę pierwszego lepszego urzędnika w pierwszym lepszym urzędzie. Każda sprawa, a było ich niemało - awantury, bójki, kradzieże, pijackie rozróby - wymagała skrupulatnej dokumentacji, dziesiątków nudnych przesłuchań, sprawozdań, a na dobrą sprawę i bez tego z góry było wiadomo, kto popełnił przestępstwo i kogo trzeba będzie przekazać prokuraturze.

Ale porucznik wierzył, że kiedyś wreszcie nadejdzie jego dzień, że powierzą mu prowadzenie prawdziwej sprawy, skomplikowanej, pełnej niejasności, znaków zapytania; że będzie mógł się wykazać i jednocześnie udowodnić, że nie na darmo szkolono go w Szczytnie. W oczekiwaniu na ten dzień starał się jak najlepiej przeprowadzać nieciekawe dochodzenia, skrupulatnie składał okresowe sprawozdania, pełnił dyżury, jak choćby dzisiaj.

Znowu poprawił się na niewygodnej kozetce. Zerknął na zegarek. Dochodziła trzecia.

- Ale się ten czas wlecz!... - westchnął głęboko i zamknął oczy, starając się przywołać sen, który jak na złość nie nadchodził.

Już się zabierał do liczenia baranów - a nuż pomoże - gdy rozdzwonił się telefon. Porucznik zerwał się momentalnie, podszedł do biurka, podniósł słuchawkę.

- Melduje się dyżurny - usłyszał głos dyżurnego z portierki. - Poruczniku, w pospiesznej relacji Warsza- wa-Szczecin trup.

- Co za trup? Mówcie jaśniej.

- Usiłowanie zabójstwa. Denatka właściwie dogorywa. Wezwano już pogotowie.

- Jedziemy! Zaalarmować ekipę dochodzeniową, lekarza - wydawał polecenia porucznik.

- Ekipa zawiadomiona, lekarz też, samochód czeka - zameldował dyżurny podoficer.

Dopinając po drodze płaszcz porucznik sadził na dół po trzy stopnie. Może to właśnie ta sprawa, na którą tak niecierpliwie czekał?

Na peron, przy którym zatrzymał się pospieszny Warszawa-Szczecin, wjechały niemal równocześnie radiowóz i karetka pogotowia. Przy otwartych drzwiach wagonu pierwszej klasy stali konduktorka, konduktor, kierownik pociągu, funkcjonariusz z posterunku dworcowego MO i grupka przygodnych ciekawskich.

- Obywatelu poruczniku! - milicjant sprężył się służ- biście. - W ubikacji ta oto obywatelka - wskazał na starszą panią - znalazła denatkę z raną kłutą pod lewą pierś. Jadący w wagonie lekarz stwierdził, że denatka jeszcze żyje, ale stan jest ciężki. Konduktorka natychmiast po przyjeździe pociągu zawiadomiła posterunek i wezwała pogotowie.

Młody lekarz pogotowia już wchodził do wagonu, porucznik podążył za nim. Ofiara napaści, wciąż nieprzytomna, dawała nikłe oznaki życia. Lekarz przyklęknął nad nią, uchylił powiekę, zbadał puls. Był! Ledwo wyczuwalny, ale był.

- Poruczniku - podniósł się z klęczek - trzeba ją natychmiast przewieźć do szpitala.

- Niech pan robi swoje - zdecydował Kulik. - Do jakiego

szpitala pan ją zawiezie?

- Na ostry dyżur do pierwszego miejskiego - odparł lekarz, podczas gdy sanitariusze układali już ranną na noszach.

- Jest szansa ratunku?

- W tej chwili nic nie mogę powiedzieć. Wszystko okaże się w szpitalu.

- Kim jest denatka? - zwrócił się porucznik do milicjanta z posterunku dworcowego.

Milicjant rozłożył ręce.

- Konduktorka mówi, że denatka nie miała przy sobie żadnych dokumentów.

- Tak jest, panie poruczniku - włączyła się przejęta konduktorka. - Ten ktoś dokładnie splądrował torebkę.

Nie było pieniędzy ani żadnych dokumentów, nic. Nawet kalendarzyka.

- Ale przecież miała jakieś bagaże? - zdenerwował się porucznik.

- Dwie walizy. Są w przedziale, zabezpieczone - meldował milicjant.

Z wagonów wysypywało się coraz więcej podróżnych. Wiadomość o napadzie przedostawała się z wagonu do wagonu systemem łańcuszkowym. Do Kulika podszedł kierownik pociągu.

- Panie poruczniku, już mamy dwadzieścia minut opóźnienia... - powiedział. - Czy to jeszcze długo potrwa?

Kulik nie odpowiedział. Jeśli to rzeczywiście ta jego długo oczekiwana sprawa, to ma cholerne szczęście! Po przyjeździe na stację wielu pasażerów wysiadło, ewentualny sprawca mógł sobie zwyczajnie odejść nie niepokojony.

- Jeszcze trochę cierpliwości - odparł machinalnie i ujrzał nadjeżdżającą nysę ekipy dochodzeniowej.

Powiedział przybyłym, jak sprawa wygląda. Rozłożyli ręce.

- To beznadziejne. Niepotrzebnie przyjeżdżaliśmy. Jakież tu ślady można zabezpieczyć? W wagonie kolejowym?

Tak, to było beznadziejne. Trzeba było podjąć decyzję. Pasażerowie jadący dalej zaczęli się niecierpliwić, kierownik pociągu nerwowo przestępował z nogi na nogę. Dyżurny ruchu

w czerwonej czapce i z lizakiem w ręku ostentacyjnie spojrzął na zegarek.

- Już przeszło pół godziny - powiedział.

- W porządku, można jechać - zdecydował Kulik. - Wstępne śledztwo przeprowadzę w pociągu. Wy, sierzancie - zwrócił się do funkcjonariusza z komisariatu dworcowego - pojedziecie ze mną. Myślę, że do Stargardu zdążymy zrobić wszystko, co do nas należy.

Wydał jeszcze dyspozycje kierowcy z komendy, by jechał do Stargardu i czekał tam na niego, a kierownikowi pociągu, by opróżnił w wagonie jeden przedział do jego dyspozycji.

- A wy, panowie - zwrócił się do kolegów z ekipy dochodzeniowej - zajmijcie się walizkami i torebką denatki. Zwłaszcza torebką. Może znajdziecie odciski palców?...

Nie minęło pięć minut, gdy pociąg, nadrabiając stracony czas, pędził w kierunku Szczecina. Porucznik Kulik, zainstalowany w pustym przedziale, na pierwszy ogień poprosił konduktorę. Spisał jej personalia i przystąpił do przesłuchania.

- Proszę mówić wszystko, co pani wie i co pani zauważyła. Niech pani się stara nie pominąć najdrobniejszego szczegółu, najbardziej bagatelnego spostrzeżenia. Byle drobiazg może tu mieć bardzo istotne znaczenie.

- Nic niezwykłego nie zauważyłam - zaczęła przejęta dziewczyna. - Ta pani wsiadła w Warszawie...

- Odprowadzał ją ktoś?

- Przyszła sama. Bagaże niósł numerowy.

- W którym przedziale zajęła miejsce?

- W tym obok.

- Dużo osób było w przedziale?

- Teraz, w listopadzie, to pociągi chodzą prawie puste. Zwłaszcza nocne. Siedziała w przedziale z tą panią, która ją znalazła.

- A czy pamięta pani, która z nich pierwsza zajęła miejsce w przedziale?

- Ta pani, co ją znalazła, już siedziała. Wiem to na pewno, bo ona pierwsza weszła do wagonu. Jak tylko podstawiono

pociąg.

- Tak... No, słucham panią. Co było dalej?

- Dalej to już nic nie było. Zająłm się służbą. Sprawdziłam bilety... Te dwie panie miały bilety do samego Szczecina.

- Może pani pamięta, gdzie ta napadnięta miała bilet?

- Jak to gdzie? W torebce^

- Zauważyła pani, czy miała w torebce jakieś inne papiery, dokumenty?

- Ale ze mnie gapa! Jak ją znaleziono, to w torebce nie miała nic, a jak poprosiłam o bilet do kontroli, to go długo szukała i wyjęła z torebki masę jakichś papierów, legitymacji... Tak, oczywiście, że miała dokumenty.

- No, widzi pani. Niby bagatelka, a dla nas to bardzo ważne. Słucham, proszę mówić dalej.

- Kiedy ja już naprawdę nic nie wiem. Po kontroli biletów zobaczyłam ją dopiero leżącą w toalecie.

- Czy nikt z podróżnych nie zwrócił pani uwagi? Nie wydał się podejrzany?

- Nie... Podróżni, jak podróżni. Zwyczajni.

- Cóż, bardzo pani dziękuję. A gdyby pani sobie coś przypomniała, nawet coś, co się będzie pani wydawało nieważne i błahe, proszę dać mi znać. - Kulik pożegnał konduktorę.

- Proście teraz, sierzancie, współpasażerkę denatki - wydał polecenie i po chwili sierżant wpuścił do przedziału wyraźnie podekscytowaną panią mniej więcej po sześćdziesiątce.

- Dzień dobry, panie kapitanie...

- Poruczniku - poprawił Kulik.

- Panie poruczniku - podjęła przybyła. - Wszystko się teraz zmienia. Przed wojną trzy gwiazdki to był kapitan. Pamiętam, gdy mój świętej pamięci małżonek...

Kulik dyskretnie zakasłał i podsunął swej rozmówczyni paczkę papierosów.

- Może pani pozwoli? Chciałem pomówić z panią na temat tego niecodziennego zdarzenia, jakie pani przeżyła w tym pociągu...

Pani przyjęła papierosa i ogień, zaciągnęła się z przy-

jemnością i zaczęła mówić nie czekając dalszych zaproszeń.

- Nazywam się Zofia Banaszek, mieszkam w Szczecinie i jestem wdową. A w Warszawie byłam u moich dzieci. Córki Krysi i jej męża Wojtusia...

Kulik wiał się jak na mękach, ale nie przerywał. Niech się wygada, może jednak powie coś istotnego.

- Nie ma pan pojęcia, jakie zdolne dzieci. Zwłaszcza Wojtuś. Inżynier! A Krysia? Urodziła bliźnięta. Mają już po pół roku. Chłopcy - Zygmunt i Mariuszek. To na cześć moich zgasłych małżonków...

Pociąg pędził, Stargard był coraz bliżej. Trzeba było przerwać wynurzenia elokwentnej pani Banaszek.

- Hm... Bardzo chętnie dowiedziałbym się jeszcze czegoś o pani wnuczkach, ale, proszę wybaczyć, czas nagli. Gdyby pani zechciała mi opowiedzieć cały przebieg podróży, od chwili zajęcia miejsca w przedziale do chwili dokonania tego makabrycznego odkrycia...

Oczywiście, panie poruczniku. Odprowadził mnie Wojtuś, bo Krysia musiała zostać z dziećmi. Nie mają żadnej pomocy. Wie pan, jak to teraz jest z gospoiami. Proszę pana, prędkiej...

Wiem, wiem - przerwał Kulik. - Ale wracając do tematu: czy pani współtowarzyszka była już w przedziale, czy zajęła miejsce dopiero po pani?

Przedział był pusty, a ona wsiadła tuż przed odjazdem pociągu.

Odprowadzał ją ktoś?

Nikt. Walizki wniósł bagażowy. To nie była sympatyczna osoba.

Dlaczego?

- Chciałam nawiązać rozmowę. Wie pan, jak to w podróży, czas się wlecze. Zaczęłam jej opowiadać o moich dzieciach i wnukach, a ona po chwili powiedziała „przepraszam” i wyszła na korytarz.

- Może z kimś rozmawiała w korytarzu?

- Nie wiem. Przestałam się nią interesować. Przykryłam się płaszczem i zasnęłam.

- I co było dalej? Niczego pani nie zauważyła?

- Co mogłam zauważyć, jak spałam? Ale jaki miałam dziwny sen. Proroczy, można powiedzieć. A pan wierzy w sny?

- Od czasu do czasu - odpowiedział wymijająco Kulik. - A gdy się pani obudziła?

- Gdy się obudziłam, to jej już nie było w przedziale. Wisiało futro, leżały walizki, a jej nie było.

- I co dalej?

- Wyszłam na korytarz, żeby sobie rozprostować nogi.

- Nie zauważyła pani kogoś na korytarzu?

- Nie, było pusto. Zapaliłam papierosa, po chwili poszłam do toalety, a tam...

- Która była godzina?

- A gdzie ja tam miałam głowę patrzeć na zegarek!

- Może coś zwróciło pani uwagę? Coś w wyglądzie ofiary, w jej zachowaniu, może coś innego?

Ale pani Banaszek nie była w stanie nic już dodać do tego, co opowiedziała porucznikowi. Na razie nie było się o co zahaczyć i Kulik jasno zdawał sobie sprawę, że będzie to twardy orzech do zgryzienia.

Lekarz, który pierwszy zajął się tajemniczą denatką, nie wniósł nic nowego poza stwierdzeniem:

- Jedno jest tu dziwne. Cios był zadany z wielką precyzją i powinien spowodować natychmiastową śmierć. Jeśli wyżyła, to prawdopodobnie jedynie dzięki nieprawidłowemu ułożeniu serca.

Pozostali pasażerowie oraz obsługa pociągu nic nie zauważyli, nie mogli niczym wspomóc dość przygnębionego porucznika.

W Stargardzie czekał samochód poznańskiej komendy. Wracali w milczeniu. Kulik przerzucał notatki poczynione w czasie wstępnego dochodzenia. Niewiele zdołał ustalić. Ofiarę znaleziono na odcinku Września - Poznań. Kiedy dokonano napadu, nie sposób było stwierdzić. Kim jest nieznajoma, dlaczego napastnik pozbawił ją wszystkich dowodów tożsamości, rabunek czy inny motyw kierował zbrodniczą ręką - te pytania pozostawały na razie bez odpowiedzi. Jedyna szansa - myślał Kulik - że ofiara odzyska przytomność i złoży

zeznanie. Są również walizki i torebka. Może ujawnią przynajmniej, kim jest ofiara, a torebka pozwoli odnaleźć jakiś ślad pozostawiony przez napastnika?...

W Szpitalu Miejskim numer jeden trwała walka o życie anonimowej ofiary. Zespół chirurgów przeprowadził kilkugodzinną skomplikowaną operację. Chora, wciąż nieprzytomna, znajdowała się pod namiotem tlenowym.

Kylik, nie wstępując do komendy, kazał się zawieźć prosto do szpitala.

- Czy wyżyje, czy odzyska przytomność? - ordynator powtórzył słowa Kulika. - Stan jest bardzo, bardzo ciężki. Mogę panu tylko powiedzieć, że rana została zadana prawdopodobnie skalpelem chirurgicznym przez osobę znającą anatomię człowieka. Jedynie dzięki nieprawidłowemu ułożeniu serca cios nie spowodował natychmiastowej śmierci. Jednak mięsień sercowy został poważnie uszkodzony. Nastąpił krwotok wewnętrzny.

- Panie doktorze, zostawię w szpitalu funkcjonariusza. Gdyby chora odzyskała przytomność, jeśli to tylko będzie możliwe, proszę pozwolić na zadanie jej kilku pytań. To niezwykle ważne. Nawet nie wiemy, kim jest ofiara.

W komendzie porucznik, nie meldując się u sekretarki, wpadł jak bomba do gabinetu majora Wachowiaka, szefa wydziału popularnie zwanego „wydziałem zabójstw”. Major był już o wszystkim poinformowany.

- No i co, Januszkę? Doczekałeś się wreszcie swojej pierwszej sprawy? Gratulować ci nie zamierzam, bo nie ma czego.

- Obywatelu majorze...

- Spokojnie, chłopcze, spokojnie. Wykonaj „spocznij”, usiądź sobie wygodnie i mów po kolei.

Kulik poczuł nagle odprężenie i przypływ optymizmu. Nie jest przecież sam. Są koledzy, jest major Wachowiak, którego porucznik darzył nie tylko podziwem i szacunkiem, ale i

głęboką sympatią. Zebrał się w sobie i, zaglądając do notatek, rzeczowo zdał sprawę z pierwszych czynności.

- Tak... paskudna sprawa - podjął major, gdy Kulik skończył meldunek. - Na złożenie zeznań przez denatkę na razie nie licz. A my, rzecz jasna, nie będziemy czekać z założonymi rękami, aż odzyska przytomność lub jej nie odzyska, bo tego też nie możemy wykluczyć. Więc co zamierzasz?

- Najważniejsza sprawa, to zidentyfikować denatkę. Może coś już wiedzą w dochodzeniówce? Zaraz się skontaktuję.

Wyniki, po których wiele się spodziewał, były właściwie żadne. Na torebce znaleziono tylko jeden rodzaj odcisków palców, co wskazywało, że są to odciski właścicielki torebki. Zawartość walizek nie dała żadnej wskazówki mogącej pomóc w identyfikacji ofiary. Porucznik przeglądał uważnie spis przedmiotów znalezionych w obu walizkach. Kostiumy, suknie, płaszcze, bielizna, obuwie, kostiumy kąpielowe, opalacze, kosmetyki... Normalna zawartość kobiecych waliz. Ale było w tym zestawieniu coś, co zwróciło uwagę porucznika.

Kto zabiera z sobą w listopadzie letnią odzież, kostiumy i czepki kąpielowe? Podobne rzeczy zabierają tylko osoby, które wyjeżdżają na długo. Denatka jechała do Szczecina, a ze Szczecina wyrusza w dalekie rejsy wiele naszych statków handlowych, które zabierają pasażerów.

Meldując Wachowiakowi o wyniku badań bagaży nieznaney ofiary i relacjonując spis zawartości walizek, podzielił się swymi spostrzeżeniami.

- Prawidłowo - Wachowiak użył swego ulubionego zwrotu. - Wejdz w kontakt z komendą w Szczecinie. Niech ustalą, czy wszyscy pasażerowie odpływających aktualnie statków zaokrętowali się.

- To obywatel major zleca mi śledztwo?

- Zlecam - lakonicznie potwierdził Wachowiak i na znak, że rozmowa skończona, ponownie zagłębił się w aktach innej sprawy.

Kulik wyszedł z gabinetu majora dumny i zadowolony, jednakże jego zadowolenie stopniowo zaczynało ustępować miejsca niepokojowi. A nuż się rozłoży? A nuż nie potrafi

doprowadzić śledztwa do końca i przekazać przestępcy prokuratorowi z teczką kompletnych akt? Lecz szybko odegnał od siebie niepokój. Nie jest to trudny zabieg, gdy ma się dwadzieścia pięć lat.

Przypilnował osobiście, by natychmiast wyszedł telex do komendy w Szczecinie z prośbą o sprawdzenie, czy wszyscy pasażerowie zameldowali się w terminie na statkach wychodzących obecnie w morze. Następnie zatelefonował do szpitala. Sytuacja nie uległa zmianie. Chora, nadal nieprzytomna, znajdowała się wciąż pod namiotem tlenowym i lekarze nie dawali najmniejszej gwarancji, że zdołają uratować ledwo tłące się życie.

Więcej nie miał nic do roboty w komendzie. Zaszedł tylko jeszcze do dalekopisów i poprosił, by w razie odpowiedzi ze Szczecina przetelefonowali mu jej treść do domu bez względu na porę.

Jak zwykle z przyjemnością wracał do domu. Przed dwoma miesiącami wprowadził się do nowiutkiej kawalerki w wielkim szesnastopiętrowym bloku. Nie mógł się jeszcze nacieszyć pierwszym w życiu własnym kątem. Kawalerka urządzona była więcej niż skromnie. Pod jedną ścianą stała wersalka nakryta miękkim kraciastym pledem, pod drugą niewielki regalik, na którym piętrzyły się książki, głównie z dziedziny prawa i kryminalistyki. Kulik od dwóch miesięcy studiował zaocznie prawo na Uniwersytecie im. Mickiewicza w myśl zasady, że od przybytku, również wiedzy, głowa nie boli.

Kulik naprędce przygotował sobie posiłek, potem stoczył z sobą krótką walkę, spoglądając na przemian to na rozścieloną już wersalkę, to na regał z książkami. Walka zakończyła się pełnym sukcesem - wziął się za podręcznik, z którego miał przygotować się do niedzielnych zajęć na uniwersytecie. Ale lektura mu nie szła. Raz po raz spoglądał na milczący telefon. Czekał na wiadomości ze Szczecina. Podświadomie czuł, że wydedukował prawidłowo i komenda szczecińska ustali tożsamość denatki, a wtedy... Wtedy śledztwo ruszy z kopyta!

Lecz telefon jak na złość milczał, obojętny na wszystko. Kulik jeszcze wypalił papierosa, jeszcze próbował walczyć z

podręcznikiem, wreszcie zmęczenie przemogło. Położył się. Długo nie mógł zasnąć, kręcił się, palił papierosy, raz jeszcze przeżywał wydarzenia ubiegłego dnia.

Natarczywy dzwonek telefonu wyrwał go już nad ranem z głębokiego snu. Dzwoniła komenda.

- Obywatelu poruczniku - chrypiało w słuchawce - przysłała odpowiedź ze Szczecina. Przekazywać?

- Dyktujcie, słucham.

- Więc tak: „Stwierdzono, że na frachtowiec PLO m/s „Radom” odpływający dziś rano do portów Afryki Zachodniej nie zgłosiła się pasażerka z Warszawy Marta Niekrasz”.

- Dziękuję. Przyślijcie mi zaraz jakiś wóz. Sprawa pilna, muszę jak najszybciej być w komendzie.

A więc nie mylił się. Pierwszy sukces. No, może nie sukces, za wielkie słowo, ale już jest pierwszy punkt zaczepienia. Ubierał się szybko, po dziesięciu minutach był przed domem. Niebawem nadjechał samochód.

W pustej jeszcze o tej porze komendzie zredagował dalekopis do Komendy Stołecznej MO. Szczegółowo opisał wydarzenia ubiegłej nocy w pospiesznej relacji Warszawa-Szczecin i zakończył prośbą o pilne ustalenie i przekazanie do Poznania bliższych danych dotyczących ofiary napadci. Nie pozostawało teraz nic innego, jak czekać na informacje ze stolicy. Zwłaszcza że ranna pacjentka, jak informował szpital, nie odzyskała przytomności, a jej życie nadal wisiało na włosku.

Tymczasem gmach komendy zaczął się zaludniać, niebawem kipiał codziennym intensywnym życiem. U „Starego”, jak nazywano powszechnie szefa wydziału śledczego, rozpoczęła się odprawa. Pułkownik był wyraźnie nie w sosie, czepiał się po kolei wszystkich, nie szczędził swym oficerom uszczypliwych uwag, podawał w wątpliwość ich umiejętności, inteligencję i w ogóle przydatność do służby w milicji. Odprawa miała się już ku końcowi, gdy pułkownik zwrócił się do majora Wachowiaka.

- Majorze, a co jest z tym napadem w pociągu Warszawa-Szczecin? - zapytał.

- Dochodzenie prowadzi porucznik Kulik - lakonicznie stwierdził major.

- Kulik? - pułkownik uniósł krzaczastą brew, a w jego głosie zabrzmiało zdziwienie.

- Tak jest. Jemu zleciłem dochodzenie.

- Hm... - pułkownik odkaszlnął. - Na co więc czekacie, poruczniku? Na specjalne zaproszenie? Meldujcie!

Kulik, jako że pułkownik nie znosił gadulstwa, jak najzwięźlej przedstawił przebieg i wyniki dotychczasowego dochodzenia. Zakończył meldunkiem o wysłaniu dalekopisu do Komendy Stołecznej MO.

- Hm... Wiele nie działaliście - skonstatował pułkownik. - Dobrze chociaż, że domyślamy się, z kim mamy do czynienia. To już coś jest. Jesteście, panowie, wolni. Zostanie tylko major Wachowiak.

Gdy wszyscy opuścili gabinet, pułkownik szeroko otworzył okno.

- Psiakrew, nakopcą tak, że udusić się można! - mruczał niezadowolony* zapalając nowego papierosa, a potem zwrócił się do majora: - Słuchaj, czyś ty zwariował?

- A o co chodzi? - major zabawiał się wyraźnie w Kubusia Puchatka.

- Jeszcze się pyta o co chodzi! Trzeba upaść na głowę, żeby dochodzenie w tej trudnej sprawie powierzać takiemu żółtodziobowi, jak Kulik.

- Żółtodziób, jak żółtodziób. Już trzeci rok pracuje w komendzie. Szkołę w Szczytnie skończył z wyróżnieniem...

- Ja nie mam nic przeciwko Kulikowi, ale taką sprawę powinien wziąć ktoś z większym doświadczeniem. Ty sam mogłeś się tym zająć.

- Mogłem, ale specjalnie tego nie zrobiłem. Słuchaj, każdy musi kiedyś zacząć, a Kulik to bystry chłopak. Inteligentny i myślący. Zobaczysz, że będą z niego ludzie. Zresztą trzymam rękę na pulsie i jak będzie trzeba, pokieruję dyskretnie Kulikiem. Na razie działa bezbłędnie.

- A, niech cię diabli! - pułkownik skapitulował. - Zawsze mnie zagadasz. Ale pamiętaj, że ty odpowiadasz za

prawidłowość i wyniki dochodzenia.

- Nic nowego nie powiedziałaś. Zawsze tak jest. Czy mogę się już odmeldować?

- Idź i niech cię nie oglądam! To znaczy... nie! Melduj na bieżąco. Wydaje mi się, że to będzie trudna i nietypowa sprawa.

W sekretariacie czekał już Kulik.

- Obywatelu majorze...

- Czego sobie życzysz? Wszystko zrobiłeś prawidłowo, teraz czekaj na odpowiedź z Warszawy. A na razie bierz się za „bieżączkę”. Roboty chyba ci nie brak?

- Oj, nie brak, obywatelu majorze.

- No to spływaj, chłopcze. Jak odpowie Warszawa, wspólnie się zastanowimy.

Kulik rad nie rad zajął się porządkiem teczek dotyczących skoku na kiosk inwalidzki. Śledztwo już było zamknięte, należało tylko dwóch „podopiecznych” wraz z dokumentacją przekazać prokuraturze. Skrupulatnie segregował protokoły nudnych przesłuchań podejrzanych i świadków, spis skradzionych towarów, materiały dowodowe i inne dokumenty zamykające definitywnie sprawę, jakich dziesiątki miał już na swym koncie.

Czas dłużył się niesamowicie. Dopiero pod sam koniec urzędowania na biurku zadzwonił telefon.

- Poruczniku - odezwała się sekretarka Wachowiaka major prosi.

Nie upłynęła minuta, gdy Kulik meldował się w gabinecie majora.

- Siadajcie - Wachowiak wskazał krzesło przed biurkiem. - Telefonowała Warszawa. Marta Niekrasz to żona znanego chirurga warszawskiego, docenta Jerzego Niekrasza. Nieobecna w miejscu zamieszkania. Niekraszowie mieszkają sami w willi na Żoliborzu. Bezdzielni.

- Żona chirurga.... - powtórzył Kulik.

- Tak, żona chirurga - potwierdził major. - Ale nie wyciągaj, chłopcze, przedwczesnych wniosków. Zwłaszcza, że sprawę przejmuje Warszawa.

Twarz Kulika wydłużyła się momentalnie.

- I słusznie - kontynuował major. - Wszystkie nici sprawy skupiają się w Warszawie. Myśmy się w to zamieszała całkiem przypadkowo. Odkrycia napadu można było równie dobrze dokonać pod Kutnem czy Koninem.

- Ale jednak... Mimo wszystko my rozpoczęliśmy dochodzenie...

- Nie to ważne, kto rozpoczął dochodzenie. Ważne, kto ma dane, by je sprawnie i skutecznie poprowadzić dalej. To decyduje. Ale nie martw się, chłopcze. Warszawa prosi, by oficer prowadzący dotychczasowe śledztwo stawiał się jak najszybciej z całą dokumentacją w komendzie stołecznej. Teczkę założyłeś, co?

- Oczywiście, obywatelu majorze. Pod kryptonimem „Dwudziesta pierwsza pięćdziesiąt”. To godzina odjazdu z Warszawy pospiesznego do Szczecina.

- Prawidłowo. A więc, chłopcze, uszy do góry! Bierz delegację, kupuj bilet i jutro o ósmej rano melduj się u majora Stefana Cepryńskiego. Przy okazji pozdrów go ode mnie. To mój stary kumpel. Jeszcze z I Armii. Życzę ci powodzenia.

I tak porucznik Janusz Kulik niespodziewanie zmierzał nocnym pociągiem do stolicy. Mimo zmęczenia nie spał. Na kolanach trzymał grubą książkę, którą studiował z uwagą, czyniąc notatki. Nie był to jednak podręcznik prawa. Był to rozkład jazdy PKP. Porucznikowi świeża bowiem pewna koncepcja. Jeśli tylko koncepcja jest słuszna, sprawa okaże się w gruncie rzeczy bardzo prosta i on ją rozwiąże, porucznik Kulik, a nie koledzy ze stołecznej komendy.

Kilka minut po ósmej porucznik Kulik meldował się w sekretariacie majora Cepryńskiego, który, podobnie jak major Wachowiak w Poznaniu, prowadził w komendzie stołecznej wydział zabójstw.

- Major już na was czeka - uśmiechnęła się życzliwie sekretarka i nacisnęła przycisk dyktafonu. - Obywatelu

majorze, zgłosił się porucznik Kulik.

- Prosić!

Kulik wszedł do gabinetu. Zza biurka podniósł się mężczyzna średniego wzrostu, korpulentny, którego okrągłą twarz zdobiły okulary w ciemnej rogowej oprawie. Przywodził na myśl raczej wiejskiego proboszcza po cywilnemu, niż znanego w całej milicji oficera, o którego sukcesach śledczych, a zwłaszcza metodach stosowanych w rozwiązywaniu najbardziej skomplikowanych spraw, krążyły istne legendy. Major Cepryński, uśmiechając się jowialnie, wyciągnął do Kulika pulchną, miękką dłoń.

- A więc jesteście - powiedział. - To dobrze. Bardzo dobrze. Śniadanie już jedliście?

- Tak jest, obywatelu majorze. Zdążyłem zjeść na dworcu.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Ale gorącej herbatki na pewno się napijecie, prawda? Taka parszywa pogoda - spojrzął w okno zasnutę listopadowym kapuśniaczkiem.

- Życ się nie chce. Panno Krysio - powiedział do dyktafonu - proszę dwie herbatki. Mocne i gorące!

Wskazał Kulikowi fotel przy niskim stoliku, sam rozsiadł się na drugim.

- Mamy nowy kłops, co? Z tą Niekraszową. Przywieźliście dokumentację, prawda?

Kulik podał mu tekturową teczkę, na której wykaligrafował czarnym mazakiem: „21.50”.

- To, obywatelu majorze, godzina odjazdu pospieszanego do Szczecina. Kryptonim sprawy.

- Aha, godzina odjazdu. To dobrze. Bardzo dobrze. No, jest już nasza herbatka.

Panna Krysia wniosła na tacy dwie dymiące szklanki z czarną jak smoła herbatą. Podawała cukier i wycofała się bezszmerowo.

- No, skoro już mamy herbatkę, to możemy przystąpić do rzeczy - zaczął Cepryński. - Opowiadajcie. Najpierw coś o sobie.

- Niewiele mam o sobie do powiedzenia, obywatelu majorze. Mam dwadzieścia pięć lat, urodziłem się w Radomiu. Mój

ojciec jest brygadzystą w Pionkach, matka pracuje w wytwórni papierosów, irjm starszego brata i siostrę, skończyłem w Radomiu liceum ogólnokształcące, a potem zdałem egzamin do szkoły oficerskiej milicji...

- To dobrze. Bardzo dobrze - przerwał major. - Ale dlaczego zdecydowaliście się na szkołę milicyjną? Jest przecież tyle innych pięknych zawodów. Całe życie marzyłem, żeby zostać leśnikiem. Piękna praca. Chodzi sobie taki leśnik po lesie, drzewka liczy, zwierzyny dogląda, z przyrodą obcuje, z pięknem natury... Nie to, co my w milicji, w brudach stale się grzebiemy, przyrodę tylko przez okno oglądamy, a i to nie zawsze jest czas zerknąć w okno. Więc jak to było z tą milicją? Tylko nie mówcie mi o powołaniu.

- Kiedy, obywatelu majorze, jeśli mam być całkiem szczerzy, to bardzo mnie interesowała praca w milicji. Wydawała mi się ciekawsza od każdej innej pracy.

- No i co?

- A przy tym, obywatelu majorze - Kulik zrobił wyraźny unik - robimy przecież coś pożytecznego dla społeczeństwa i ta praca daje satysfakcję. Nie żałuję wyboru.

- To dobrze. Bardzo dobrze.

- Gdy zdarzył się ten wypadek w pociągu, miałem właśnie dyżur w komendzie. Podjąłem wstępne dochodzenie, a potem major Wachowiak zdecydował, że powierzy mi prowadzenie tej sprawy.

- Wachowiak?

- Tak jest. Kazał przekazać obywatelowi majorowi pozdrowienia.

- To dobrze. Bardzo dobrze. Znam Wachowiaka jak siebie samego. Stare dzieje. Macie dobrego szefa, poruczniku. No, ale wracajmy do sprawy.

Cepryński zagłębił się w teczce, przejrzał notatki z pierwszych przesłuchań, orzeczenie lekarskie, resztę dokumentów.

- Tak. Na razie niewiele wiemy. A co wy sądzicie o tym wszystkim? - zapytał. - Rabunek?

- Raczej nie, obywatelu majorze. Jestem przekonany, że tło

jest inne.

- Ciekawe, ciekawe... A na czym opieracie swój pogląd?

- Po pierwsze zwykły bandzior nie zabierałby dokumentów, notesu, a nasz delikwent zadbał o to, by usunąć wszelkie ślady prowadzące do ustalenia tożsamości ofiary.

- Dobrze, bardzo dobrze.

- Po drugie: jak stwierdził lekarz, cios został zadany przez osobę znającą anatomię człowieka i prawdopodobnie skalpelem.

- Dobrze. Bardzo dobrze.

- Po trzecie: mąż ofiary jest chirurgiem. Bardzo to dziwny zbieg okoliczności. Marta Niekrasz obracała się w środowisku lekarskim. Moim zdaniem tam trzeba szukać przestępcy. Może Niekrasz, może kto inny...

- Dobrze, bardzo dobrze - powtórzył major swój ulubiony zwrot, któremu zawdzięczał przezwisko „major Dobrze”. - Tyle tylko, że Niekrasza możemy wykluczyć. Nie myślcie, że czekając na was siedzieliśmy tu z założonymi rękami. Na wszelki wypadek sprawdziłem Niekrasza. Krytycznego dnia Niekrasz normalnie stawiał się do pracy. O ósmej rano był w szpitalu.

Teraz nadeszła wielka chwila Kulika.

- Jeśli obywatel major pozwoli, to uważam, że fakt normalnego stawienia się Niekrasza do pracy niczego jeszcze nie dowodzi. Ja wszystko przemyślałem.

- No, słucham, słucham.

Kulik wyciągnął z teczki rozkład jazdy PKP.

- Jadąc do Warszawy spędziłem trochę czasu nad rozkładem jazdy. Otóż przestępca mógł wyjechać z Warszawy tym samym pociągiem, co Niekraszowa. Wykorzystując noc i małą frekwencję w pociągach o tej porze roku, mógł dokonać przestępstwa między Kutnem a Ko*- ninem, potem wysiąść w Koninie, dokąd pociąg przychodzi o godzinie pierwszej dwadzieścia, złapać pociąg, który odchodzi z Konina do Warszawy o pierwszej dwadzieścia siedem i o godzinie piątej z minutami wylądować na dworcu Głównym.

- Ciekawe, ciekawe... - zamyślił się major wertując rozkład

jazdy. - No, a jeśli pociąg miałby opóźnienie?

- Opóźnienie mógł mieć również pociąg do Warszawy, a zresztą, obywatelu majorze, każde przestępstwo to wielkie ryzyko i przestępca dobrze o tym wie.

- No tak - podjął major - z tego wynika, że normalna obecność w pracy po krytycznej nocy nie może stanowić alibi. Cóż, trzeba sobie będzie pogawędzić z docentem Niekraszem. Chciałem go wczoraj natychmiast zawiadomić, ale Niekrasz po opuszczeniu szpitala nie wrócił do domu. Telefon milczał. Pewnie, korzystając ze swobody, gdzieś się wypuścił. Trzeba to będzie załatwić teraz. Na razie jesteście wolny, poruczniku, ale tnożecie jeszcze być potrzebny. Na wszelki wypadek zameldujcie się o piętnastej.

Gdy Kulik zamknął za sobą drzwi, major gwizdnął i powiedział sam do siebie:

- Pistolet! Słowo daję, pistolet!

I wrócił do teczki oznaczonej kryptonimem „21.50”. Potem połączył się z komendą w Poznaniu, z majorem Wachowiakiem. Po wymianie pozdrowień z przyjacielem przystąpił do rzeczy.

- Zameldował się twój podopieczny. Wiesz, robi dobre wrażenie, to niegłupi chłopak.

- Cieszy mnie twoja opinia - odparł Wachowiak. - Kulik to cenny nabytek. Stawiam na niego.

- A u nas w Warszawie szaleje grypa. Zdziesiątkowała całą komendę. Nie ma kim pracować. - Cepryński chytrze zmienił temat. - Gdyby tak dało się oddelegować Kulika do tej sprawy?

W słuchawce zapadło milczenie nie wróżące niczego dobrego.

- Tylko na kilka dni - kontynuował Cepryński. - Słowo daję, wszyscy moi oficerowie mają zwolnienia lekarskie. Zrozum starego przyjaciela...

- Ty pewnie myślisz - podjął Wachowiak — że my tu gramy w warcaby i rozwiązujemy krzyżówki z „Przekroju”. Zapewniam cię, że mamy wystarczająco dużo roboty. Kulik też.

- Słuchaj, na kilka dni. Chłopak ma jedną niezłą koncepcję, daj mu szansę.

W słuchawce znowu zapadło milczenie i minęła dobra chwila, nim rozległ się w niej głos Wachowiaka.

- Mój stary się wścieknie. Nie wyrazi zgody, żeby nie wiem co...

- Nie będzie tak źle. Zaraz wyślemy do twego szefa dalekopis z prośbą o oddelegowanie Kulika, a ty go tylko przygotuj moralnie...

- Co?! Zwariowałaś? Stary od kilku dni chodzi wściekły, a ja mam się podkładać? Niby z jakiej racji?

- Stary liczy się z tobą, a czuję, że ty nie jesteś od tego, by pomóc koledze, no i przede wszystkim dać szansę Kulikowi. Zaraz wysyłam dalekopis.

- Niech cię wszyscy diabli!...

- Nie złość się. Złość piękności szkodzi. Dziękuję ci, bywaj!

Cepryński zadowolony odłożył słuchawkę, a Wachowiak, po krótkim namyśle, zameldował się u szefa.

- Czy możesz mnie przyjąć? W sprawie Niekraszowej

- powiedział do dyktafonu.

- Jest coś nowego? - zabrzmiał głos pułkownika.

- Jest.

- To przychodź zaraz.

Gdy tylko Wachowiak ukazał się w drzwiach gabinetu, zabrzmiało pytanie:

- Co nowego?

- Komenda stołeczna prosi o oddelegowanie Kulika do dyspozycji majora Cepryńskiego.

- Co?! Kpisz, czy o drogę pytasz?-pułkownik, purpurowy ze złości, poderwał się zza biurka. - Majorze Wachowiak! Zabraniam, słyszycie, zabraniam zawracania mi głowy podobnymi bzdurami! Nasi ludzie padają na nos, prowadzą po kilka spraw naraz, nie wiedzą za co najpierw się łąpać, a jaśnie panowie z Warszawy życzą sobie oddelegowania oficera do ich dyspozycji! A wy, majorze, zamiast od razu udzielić takiej odpowiedzi, żeby im w pięty poszło, ośmielacie się zajmować mi cenny czas!

- Obywatelu pułkownika, odpowiedziałem, że na pewno nie wyrażacie zgody, ale oni bardzo was proszą. Zaraz dostaniecie

w tej sprawie dalekopis. Nie mają kim pracować. Grypa...

- Mam gdzieś grypę! Co oni sobie myślą?! Że ja tu dla nich trzymam rezerwy kadrowe? Że ja nie mam spraw; że moi ludzie w nosie dłubią z nudów? - pienił się pułkownik.

- Poza tym porucznik Kulik, jak mi mówił major Cepryński, ma jakąś ciekawą koncepcję, może być pomocny w dalszym dochodzeniu...

- Wylazło szydło z worka! - ucieszył się zjadliwie pułkownik.
- Adwokat się znalazł.

- Uważam Kulika za obiecującego oficera. Gdzie może się rozwinąć i przygotować do samodzielnej pracy, jeśli nie w podobnym śledztwie? Nie bawię się w adwokata, tylko myślę perspektywicznie. Nie jesteśmy wieczni. Kiedyś nasze miejsca zajmą młodzi. Tacy jak Kulik, i inni. Musimy wykorzystać każdą szansę, by byli dobrze przygotowani do zadań, które ich czekają.

- Skończyłeś? - pułkownik z powrotem zajął miejsce za biurkiem. - Bardzo dziękuję za wykład. Przepraszam, że nie robiłem notatek. Gdzie ten dalekopis z Warszawy? Jeszcze nie przyszedł? No, jak przyjdzie, to już ja im odpowiem!... Co się uśmiechasz? - zapytał widząc uśmiech na twarzy Wachowiaka.

- Bo znam cię jak zły szeląg.

Docent Jerzy Niekrasz, ze zwykłą sobie punktualnością, za pięć ósma zaparkował swój wóz na placyku przed szpitalem. Z uderzeniem godziny ósmej wszedł do swego gabinetu ordynatora oddziału chirurgicznego. Minutę po ósmej do gabinetu weszła siostra oddziałowa.

- Dzień dobry, panie doktorze. Lekarze już gotowi do obchodu.

- Dzień dobry, siostró. Niech jeszcze chwilę zaczekają, a na razie poproszę doktora Tarkowskiego.

Nie upłynęła minuta, gdy w drzwiach ukazał się doktor Michał Tarkowski.

- Serwus, Jerzy - powitał Niekrasza - słucham cię.

Niekrasz uniósł w górę rękę z zabandażowanym palcem wskazującym.

- Muszę cię zmartwić - powiedział. - Dziś też nie będę operował. Sam rozumiesz. Chirurg, jak pianista, musi mieć sprawne wszystkie palce.

- Jakoś sobie poradzimy.

- Poprowadź, Michał, obchód, a ja zajmę się tymczasem papierkami. Odwalę trochę tej cholernej biurokracji. Aha, jeszcze jedno. Miałem operować tego faceta spod siódemki z zamostkową tarczą. Musisz ty to zrobić. Nie można już zwlekać. Tak sobie wyhodował tę tarczę, że każdej chwili grozi mu zawał mózgu.

- Rozkaz, szefie! Wszystko będzie okej. Walę na obchód - odineldował się Tarkowski.

Tymczasem Niekrasz zdjął słuchawkę wewnętrznego telefonu i powoli wykręcił numer. W słuchawce rozległ się kobiecy głos.

- To ty? - spytał Niekrasz. - Szukałem cię wczoraj. Czemu nie było cię w szpitalu?

- Po prostu - usłyszał w słuchawce - odbierałam wolny dzień. A co się stało?

- Wyjechała - oznajmił Niekrasz. - Mamy trzy miesiące wyłącznie dla siebie. Słuchaj, wypuszczamy się dzisiaj. Musimy nadrobić wczorajszy dzień. Zapraszam cię na wspaniałą kolację.

- Tylko na kolację? - spytał głos w słuchawce.

- Czekam na ciebie o siódmej-odpowiedział Niekrasz i odłożył słuchawkę.

Jola, siostra z interny, bardzo mu się podoba, a jeśli chodzi o sprawy łóżkowe, jest niezastąpiona. Trwa to już dwa lata, a Niekrasz pożąda jej równie silnie, jak na początku romansu. Chyba jest w nim rzeczywiście zakochana, co - nie ukrywajmy - pochlebia pięćdziesięcioletniemu mężczyźnie. Jola marzy, by rzucił Martę i ożenił się z nią. Zrobiłby to bez namysłu, ale nie jest to wcale takie proste. Wszystko, co posiadają Niekraszowie - willa, samochód, pokaźne konto bankowe, to własność Marty. Odejść od Marty znaczy stracić to wszystko, a

on nie potrafiłby już wyrzec się luksusowego życia, które wiódł od piętnastu lat. Musi więc jakoś godzić przyjemne z pożytecznym. Tłumaczy to Joli, jak tylko potrafi, a ona z uporem powtarza, że nic ją to nie obchodzi, dąsa się, robi sceny.

Jak żywe staje mu w pamięci ich ostatnie spotkanie. Pojechali samochodem za miasto. Zatrzymali się w prywatnym motelu, gdzie Niekrasz uprzednio zarezerwował pokój. I oto, gdy leżeli obok siebie syci pieścizot, Jola ni stąd, ni zowąd, uniósłszy się na łokciu, wykrzyknęła głosem stwardniałym od nienawiści: „Nie cierpię jej! Nie cierpię! Po co ona istnieje, po co żyje?”

Wówczas Niekrasz po raz pierwszy uprzytomnił sobie, że gdyby Marta zmarła, cały majątek przeszedłby na niego. Nie mają przecież dzieci, Marta nie ma rodzeństwa. Wtedy Niekrasz bez wahania poślubiłby Jolę. -

Na wpół machinalnie wertował i załatwiał okazałą porcję zaległej korespondencji, nie wypełnionych sprawozdań i raportów, gdy na biurku zaterkotał telefon. Portier meldował, że jakiś pan chce się koniecznie z nim widzieć w pilnej sprawie służbowej.

- Proszę wpuścić - zdecydował Niekrasz. - Czekam.

Po chwili do gabinetu wszedł mężczyzna w średnim wieku, którego okrągłe, jowialne oblicze przesłaniały okulary w ciemnej oprawie.

- Major Cepryński z Komendy Stołecznej MO - przedstawił się, okazując legitymację.

Jednocześnie jego uśmiechnięte jak zwykle oczy pilnie śledziły zza szkieł pierwszą reakcję Niekrasza. Przez moment dojrzał w oczach lekarza króciutki błysk, lecz nie potrafił określić, czy był to błysk zdziwienia, zaskoczenia czy też zdenerwowania oczekiwaną w gruncie rzeczy wizytą. Twarz Niekrasza, na której widniał zdawkowy uśmiech, nie zmieniła wyrazu.

- Słucham pana, majorze - powitał go krótko.

- Pan się naturalnie nie domyśla, w jakiej sprawie pana niepokoję...

- Nie tylko nie domyślałam się, ale przyznam, że jestem zaskoczony.

- Chciałem się z panem skontaktować już wczoraj wieczorem, ale nie zastałem pana w domu.

- Szukał mnie pan w domu? Rzeczywiście, grałem wczoraj w brydża u znajomych. Ale o co chodzi, panie majorze?

- Panie docencie, pańska żona wyjechała przedwczoraj do Szczecina.

- Tak, wyjechała. Ale doprawdy nie rozumiem...

Tym razem w głosie Niekrasza zabrzmiał wyraźny

niepokój. Nerwowo wyciągnął z paczki papierosa, zapominając poczęstować gościa, i przypalił go, łamiąc dwie pierwsze zapalki.

- Na pana żonę dokonano napadu w pociągu. Została przewieziona do szpitala w Poznaniu. Nie chcę pana martwić, ale stan bardzo ciężki. Do dziś nie odzyskała przytomności.

- Ale co... jak to się stało?

Niekrasz, wysłuchawszy szczegółowej relacji majora, jak automat zerwał się z za biurka.

- Muszę natychmiast jechać do Poznania!

- Oczywiście, panie docencie - zgodził się Cepryński i w tym momencie odezwał się telefon.

Niekrasz, na wpół przytomny, podniósł słuchawkę.

- Do pana, majorze.

Cepryński odbył krótką rozmowę. Powtórzył kilka razy „tak, tak”, odłożył słuchawkę i powiedział:

- Nie żyje.

Niekrasz opadł z powrotem na krzesło, a Cepryński nie potrafił sprecyzować, czy to było przerażenie, czy ulga...

Dopiero po dłuższej chwili Niekrasz odezwał się jakimś nieswoim, drewnianym głosem:

- A jednak muszę tam zaraz jechać.

- Rozumiem pana, panie docencie, tym bardziej, że konieczna jest oficjalna identyfikacja zwłok. Proszę mi wierzyć, że czuję się bardzo niezręcznie, ale muszę pana prosić o kilka informacji. Popołniono zbrodnię, toczy się już śledztwo i stąd moja natarczywość.

- Słucham, panie majorze. Gdybym nie potrafił nad sobą panować, nie mógłbym być chirurgiem.

- Dziękuję. Żona wyjechała przedwczoraj, prawda? Pan, naturalnie, odprowadził ją na pociąg?

Niekrasz jakby zawahał się, nim odpowiedział:

- Nie. Nie odprowadzałem żony.

- A czy nie zauważył pan czegoś niezwykłego w zachowaniu żony? Czy nie zwierzała się panu z jakichś obaw, czy nie była ostatnio zdenerwowana?

- Wprost przeciwnie, panie majorze. Była w bardzo dobrym nastroju, cieszyła się podróżą do Afryki. Nie spostrzegłem w jej zachowaniu czegokolwiek, co odbiegałoby od normy, zwracało uwagę.

- Czy pana żona miała wrogów?

- Chyba, jak każdy człowiek, miała ludzi niechętnych, nie darzących jej sympatią, ale wrogów? Me, nie! Nikt z ludzi, których znaliśmy, z którymi utrzymywaliśmy stosunki towarzyskie czy zawodowe, nie wchodzi w rachubę.

- Czy aby na pewno? Może pan za to ręczyć?

- No, wie pan...

- Widzi pan, nienawiść, zazdrość, to bardzo częste motywy przestępstwa. A orientuje się pan może, co żona miała przy sobie wartościowego: pieniądze, biżuteria?

I znowu Cepryński dosłyszał w głosie Niekrasza wyraźne wahanie.

- Hm... Musiałbym sprawdzić w domu, co ze sobą zabrała. Na pewno miała obrączkę i złotego longina na rękę... Co do reszty, to doprawdy nie wiem... Miała też sto trzydzieści dolarów. Dostała przydział dewiz. Ile miała polskich pieniędzy, zupełnie się nie orientuję, ale nie sądzę, by w taką podróż zabierała jakąś znaczną kwotę.

Cepryński wstał.

- Cóż, na razie to wszystko, co chciałem wiedzieć. Pewnie będę pana musiał jeszcze niepokoić po pańskim powrocie z Poznania, a teraz nie zatrzymuję i jeszcze raz przepraszam.

I już otwierając drzwi, major Cepryński zadał ostatnie pytanie:

- Przepraszam, panie docencie... Co się panu stało w palec?

- Głupstwo. Skaleczyłem się krając chleb.

Cepryński, nie spiesząc się, przemierzał pełne codziennego ruchu szpitalne korytarze. Postanowił, wykorzystując sytuację, odbyć krótką rozmowę z dyrektorem szpitala. Sekretarka, gdy się jej przedstawił, była wyraźnie podniecona niecodzienną wizytą, a jednocześnie zakłopotana.

- Och, panie majorze, u dyrektora bawi właśnie inspektor z ministerstwa. Ale, oczywiście, zaraz pana majora zamelduję.

- Proszę nie przerywać dyrektorowi - zatrzymał sekretarkę w pół drogi do drzwi gabinetu. - To chyba długo nie potrwa, a ja chętnie zaczekam.

Usiadł w wygodnym fotelu i przymknąwszy oczy oceniał wrażenia z pierwszego zetknięcia z Niekraszem. Facet zimny, opanowany i najwyraźniej nie całkiem szczerzy. Gdy zapytał, co Marta Niekrasz miała przy sobie wartościowego, z tonu odpowiedzi Niekrasza, z widocznego wahania wyczuł nieomylnie, że coś zostało nie dopowiedziane. Ale co i dlaczego? Pierwsze poszlaki, ale tylko poszlaki, wskazywały na Niekrasza. Narzędzie zbrodni, znajomość anatomii... a przy tym koncepcja porucznika Kulika nie była pozbawiona logiki. I na dodatek jeszcze skaleczony palec, czy rzeczywiście przy krajaniu chleba?...

Cepryński tak się pogрузzył w medytacjach, że nie zauważył nawet, jak inspektor z ministerstwa wychodził z gabinetu i dopiero głos sekretarki, zapraszający do dyrektora, przywołał go do rzeczywistości.

Dyrektor, dowiedziawszy się o przyczynie wizyty Cepryńskiego w szpitalu, nie mógł się uspokoić.

- Coś takiego, coś takiego!... - powtórzył kilka razy. - Nie do wiary! Taka przystojna młoda kobieta...

- Młoda?

- Nie miała więcej niż czterdzieści pięć lat. Dzisiaj to żaden wiek.

- Może i racja, panie dyrektorze - bez większego przekonania zgodził się Cepryński. - Byłbym panu zobowiązany, gdyby zechciał mi pan, jako zwierzchnik docenta Niekrasza, a

zarazem kolega - lekarz, nakreślić jego sylwetkę.

- Pan major podejrzewa Niekrasza?

- Nikogo jeszcze nie podejrzewam, ale prowadząc śledztwo, chciałbym jak najlepiej poznać najbliższe środowisko Marty Niekrasz.

- Tak, oczywiście... Rozumiem pana, majorze. Mogę powiedzieć tylko jedno: znakomity chirurg, sława na skalę europejską. A przy tym bardzo sumienny, obowiązkowy, wymagający, ale nie tylko od innych, lecz przede wszystkim od siebie.

- A w życiu prywatnym?

- To już trudniejsze pytanie. Tak się złożyło, że nie utrzymuję bliższych stosunków z Niekraszami. Doprawdy trudno mi coś bliższego powiedzieć na temat prywatnego życia Niekrasza. A plotek nie chcę powtarzać.

- Może jednak? - Cepryński uśmiechnął się zza okularów. - Każda plotka powstaje na jakimś realnym podłożu i zawiera w sobie ziarnko prawdy.

- No, cóż... - zawahał się dyrektor. - Skoro pan major nalega... Złośliwi mówią, że Niekrasz poleciał na majątek swej żony. Podobno jest... była - poprawił się - bardzo majątna. Zresztą, panie majorze, Niekraszowie przyjaźnili się z Tarkowskimi. Oboje są lekarzami. Doktor Tarkowski pracuje z Niekraszem na oddziale chirurgicznym, jest jego prawą ręką, a Tarkowska, też chirurg, pracuje w szpitalu na Solcu. Szczególnie Niekraszowa przyjaźniła się z Tarkowską. Słowem, od Tarkowskich może się pan major najwięcej dowiedzieć.

Cepryński spojrział na zegarek. Dochodziła dwunasta, ale miał jeszcze sporo czasu.

- Panie dyrektorze, czy pozwoli pan skorzystać z telefonu? Gdyby pan poprosił sekretarkę, by połączyła mnie z doktor Tarkowską...

Doktor Tarkowska po drugiej stronie drutu oniemiała na dłuższą chwilę, gdy dowiedziała się o śmierci przyjaciółki.

- Marta nie żyje !... - powtórzyła wreszcie. - To straszne. Naturalnie jestem do pana dyspozycji. Dzisiaj mamy dzień bez operacji. Tylko, panie majorze, tu u nas nie ma warunków do

spokojnej rozmowy. Na rogu Solca i Tamki jest kawiarenka, może tak będzie wygodniej?...

- Będę tam za piętnaście minut - zgodził się Cepryński. - Tylko jak panią poznam?

- Zjawię się tam po panu, powiedzmy za dwadzieścia minut, i wejść w płaszczu narzuconym na ramiona - zaproponowała Tarkowska.

- Zgoda. Dziękuję i za dwadzieścia minut czekam na panią.

Odłożył słuchawkę, pożegnał dyrektora szpitala i udał się na randkę, po której sporo się spodziewał.

W małej, lecz przytulnej kawiarence, pustej jeszcze o tej porze, zajął stolik w rogu salki, zamówił podwójną herbatę, spojrzął na zegarek. Tarkowska powinna zjawić się lada moment. Istotnie po chwili stanęła w drzwiach postawia, elegancko ubrana kobieta w płaszczu narzuconym na ramiona. Dyskretny makijaż podkreślał jej nieszablonową urodę. Cepryński podszedł i zapytał:

- Pani doktor Tarkowska? Dzień dobry pani. Major Cepryński.

Nie mógł nie zauważyć błysku zdziwienia w oczach pięknej pani. Nie tak zapewne wyobrażała sobie oficera milicji tropiącego morderców i innych przestępców. Cóż, nie jego wina, że aparycją nie przypomina Jamesa Bonda.

Usiedli przy stoliku.

- Jestem wstrząśnięta - zaczęła rozmowę Tarkowska, zapalając papierosa. - Biedna Marta. Jak to się stało? Kto ją zabił?

- Otóż to! Kto ją zabił? Byłbym szczęśliwy, gdybym mógł odpowiedzieć na to pytanie - odparł Cepryński i krótko streścił okoliczności napadu.

- Więc zwykły, ordynarny ra bunek? - zapytała Tarkowska, zapalając drugiego papierosa.

- Może rabunek, a może inny motyw kierował ręką zbrodniarza. Nie wiemy jeszcze nic, błądzimy po omacku, ale robimy wszystko, by wyjaśnić sprawę do końca. Pani przyjaźniła się z panią Niekrasz...

- Tak, panie majorze, byliśmy w bardzo zażyłych stosunkach. Ja i mój mąż przyjaźniliśmy się z Niekrasz- mi,

bywaliśmy u siebie, mieliśmy krąg wspólnych znajomych. .

- I właśnie dlatego poprosiłem panią o spotkanie. Chciałbym jak najwięcej dowiedzieć się o pani Niekrasz, o jej mężu, o ich pożyciu, ich znajomych i przyjaciółach. Każdy szczegół, zdawałoby się całkiem błaży, może mieć dla śledztwa kolosalne znaczenie. Dlatego prosiłbym panią o maksymalną szczerłość, o nieukrywanie niczego, co jest pani wiadome, włącznie z najbardziej intymnymi sprawami Niekraszów.

- Czy to będzie przesłuchanie?

- Od razu widać, że nie miała pani do czynienia z milicją - roześmiał się Cepryński. - Przesłuchania prowadzimy w komendzie, z protokołem i protokolantem. Proszę panią po prostu o pomoc w rozwikłaniu zagadki, przed którą zostaliśmy postawieni. Przy tym może pani być pewna absolutnej dyskrecji. Sprawy, które nie mają bezpośredniego związku z przestępstwem, pozostaną naszą tajemnicą.

- Panie majorze - zdecydowanym głosem podjęła Tarkowska - serdecznie lubiłam Martę. To był dobry człowiek, może trochę narwany i niezbyt szczęśliwy. Zrobię, co w mojej mocy, by pomóc w wykryciu zbrodniarza. Proszę, niech pan pyta.

- Może odwrócimy sprawę - zaproponował Cepryński

- proszę mówić wszystko, co pani uzna za godne powiedzenia, a ja będę uważnie słuchał. Dla ułatwienia pani startu zadam tylko jedno pytanie.

- Słucham pana.

- Jak wyglądało życie państwa Niekraszów?

A widząc, że Tarkowska waha się z odpowiedzią, dorzucił:

- Tylko szczerze, pani doktor.

Tarkowska po raz pierwszy uśmiechnęła się lekko.

- Ha, trudno! Skoro obiecałam... Pożycie Niekraszów nie było najlepsze. Szczególnie w ostatnim okresie. Szczerze powiedziawszy nigdy nie wierzyłam, by Jurek,.. to jest docent Niekrasz naprawdę kochał Martę. Był zawsze bardzo poprawny, układny i usłużny, ale chłodny. Nie potrafię tego sprecyzować, ale ze strony Niekrasza małżeństwo z Martą to był układ, nie uczucie. Pan mnie rozumie?

- Proszę mówić. Jeśli czegoś nie zrozumie, zapytam.

- Ostatnio Jerzy... ostatnio Niekrasz zaplątał się w romans. Naturalnie krył się z tym przed Martą, ale kobiety są wyczułone na te sprawy. Niełatwo nas wyprowadzić w pole. Marta podejrzewała, że coś nie jest w porządku, że jest ktoś trzeci. Mówiła mi o tym wyraźnie, chciała się dowiedzieć czegoś konkretnego, ja ją zbywałam, wołałam nie mieszać się w tego rodzaju historie.

Tarkowska zamilkła i dopiero po chwili podjęła:

- Ale doprawdy, panie majorze, nie rozumiem, po co panu te wszystkie historie. W jakim stopniu ich znajomość może ułatwić wykrycie prawdy?

- Zbrodnię, pani doktor, popełnia tylko człowiek, którym kieruje jakiś motyw. Być może Martę Niekrasz napadł zwykły rzezimieszek i tylko rabunek był motywem zbrodni. A może nie był to rzezimieszek? Naszym obowiązkiem jest wykryć prawdę i przekazać sprawcę, kto by to nie był, w ręce sprawiedliwości.

- Chyba nie posądza pan Jurka! - zachnęła się Tarkowska. - Nie, nie! Po trzykroć nie! O wszystko bym go mogła posądzić, tylko nie o taki postępek. Zbrodnia wymaga odwagi, a to w gruncie rzeczy miękki człowiek, sybaryta lubiący spokój i wygodę, czasami lekkomyślny, ale nie zbrodniarz!

- Nie posądzam nikogo. Na to jeszcze za wcześnie. Ale z drugiej strony podejrzewać mogę każdego. Panią też.

Tarkowska zrobiła wielkie oczy.

- Mnie?! - wykrzyknęła tak głośno, że od sąsiednich stolików pobiegło w ich kierunku kilka ciekawych spojrzeń.

- Proszę się nie oburzać. Pozwalam sobie teoretyzować. - Cepryński uśmiechnął się, jakby przepraszając swą rozmówczynię. - Przecież ja dopiero usiłuję poznać środowisko, w którym żyła i poruszała się Marta Niekrasz. Jeśli odrzucimy rabunek, muszę dojść, co jeszcze mogło popchnąć do zbrodni. Rozmowa z panią jest naprawdę wielce pomocna i jeśli szczerze pragnie pani pomóc śledztwu, proszę kontynuować. Czy może mi pani powiedzieć coś bliższego o przyjaciółce docenta Niekrasza?

- Cóż, oczywiście, że mogę. Tym bardziej, że jest to tajemnica

poliszynela, której nie znała tylko biedna Marta - odparła spokojniej już Tarkowska. — Przyjaciółką Niekrasza jest młoda pielęgniarka, Jolanta Kubis. Pracuje w tym samym szpitalu, co on. Niebrzydka, o wulgarnej nieco i wyzywającej urodzie, ale właśnie takie dziewczyny przypadają przeważnie do gustu starszym panom. Przy tym jest sprytna, wie czego chce. Kochał się w niej na zabój młody lekarz, chciał się żenić, a ona nie. Bez namysłu rzuciła go dla Niekrasza, człowieka żonatego i dużo od niej starszego.

- Może się zakochała? Bywa i tak, że młode dziewczyny mają skłonność do starszych mężczyzn.

- Nie sądzę. Zaimponowała jej raczej pozycja Niekrasza, jego niezależność materialna...

- A propos. Jak wygląda sytuacja finansowa Niekrasza?

- O, jak na nasze warunki, to majątni ludzie. Marta była wręcz bogata. Jako młodzianka dziewczyna została po powstaniu warszawskim wywieziona na roboty do Rzeszy i tam po skończeniu wojny pobrała się z amerykańskim oficerem i wyjechała z nim do Stanów. Niestety, wkrótce po przyjeździe do Stanów jej mąż zginął w wypadku samochodowym. Pozostawił jej spory spadek, a prócz tego wypłacono jej okrągłą sumę z tytułu ubezpieczenia męża. Jak mi opowiadała, nie czuła się dobrze wśród Amerykanów, poza tym tęskniła do kraju, więc nie namyślając się wiele, wróciła na stałe, naturalnie znakomicie zabezpieczona materialnie. Po przyjeździe zachorowała na wyrostek. Konieczna była operacja. Operował ją Niekrasz, wówczas jeszcze młody, nieznany chirurg. Tak się zaczęła ich znajomość, przez zwykły przypadek. Po kilku miesiącach byli już po ślubie.

Cepryński skinął na kelnerkę, uregulował rachunek nie bacząc na protesty pani doktor.

- Bardzo pani dziękuję - szarmancko ucałował dłoń Tarkowskiej. - Przede wszystkim za szczerość. Czy upoważnia mnie pani do telefonu, jeśli chciałbym jeszcze czegoś się dowiedzieć?

- Zawsze, panie majorze. I życzę panu, żebyście jak najszybciej wykryli, kto popełnił tę bezsensowną zbrodnię.

Te trzy rozmowy, zwłaszcza rozmowa z Tarkowską, wiele mu dały, ale nie był zadowolony. Fakty zaczęły się wiązać zbyt łatwo, a Cepryński tego nie lubił. Doświadczenie mówiło mu, że tam, gdzie klocki łamigłówki gładko się składają, zasugerowany tym oficer śledczy, ponaglany ponadto przez tempo pracy, nowe sprawy, a także niecierpliwych przełożonych, często popełnia omyłkę.

Wyłoniły się już prawdopodobne motywy. Miały je, jak na razie, dwie osoby: Niekrasz uwikłany w romans, któremu, być może, przeszkadzała starzejąca się żona. Mógł się co prawda rozwieść, ale wówczas majątek pozostałby przy żonie... Druga osoba to Jolanta Kubis, której na drodze do pozycji żony sławnego chirurga stała Marta Niekrasz.

Czyżby Kulik miał rację mówiąc, że przestępcy należy szukać w środowisku lekarzy? Bo Cepryński coraz bardziej był skłonny odrzucić wersję napadu rabunkowego. Trzeba będzie również sprawdzić Tarkowską. Ileż to razy zawiść, zazdrość, zdominowały przyjaźń i popchnęły do przestępstwa.

A na razie trzeba jak najszybciej przesłuchać Niekrasza i Jolantę Kubis.

- Jedziemy do prokuratury-zadysponował, sadowiąc się na tylnym siedzeniu służbowego fiata.

Z ramienia prokuratury nadzór nad dochodzeniem objął prokurator Ostrowski. Pedant, bardzo drobiazgowy, bezwzględnie egzekwujący bieżące informacje o stanie śledztwa - z drugiej, strony zawsze potrafił się wczuć w położenie podejrzanego i respektował przysługujące mu prawa. Nadzorował niejedną sprawę prowadzoną przez Cepryńskiego i choć nieraz major zżymał się na jego drobiazgowość, w gruncie rzeczy szanował i cenił Ostrowskiego. Nawiązała się między nimi nić sympatii. Nie potrzebowali wielu słów, by zrozumieć się wzajemnie i pomagać sobie w dochodzeniu, respektując jednocześnie wszelkie przepisy prawa.

- Dzień dobry, majorze - powitał Cepryńskiego prokurator. - Cieszę się, że pana widzę.

- Wzajemnie, panie prokuratorze. Znowu los i decyzje władzy złączyły nasze drogi...

- ... a sprawa, jak widzę ze wstępnych materiałów, nie jest prosta - wpadł mu w słowo Ostrowski. - Jak pan to widzi? Przyjmuje pan tezę napadu rabunkowego?

- Ostro pan startuje, prokuratorze. Dopiero dziś rano dostałem z Poznania materiały, a pan pyta, co wiem. Chciałem panu zameldować, że podjąłem już śledztwo...

- A widzi pan! - ucieszył się Ostrowski.

- ... ale za wcześniej byłoby mówić, że już coś wiem. Muszę się przespać z tym wszystkim i dopiero potem ustalić kierunki śledztwa. Sam pan powiedział, że sprawa nie jest prosta.

- Nos mi to mówi. W każdym razie proszę o bieżące informacje.

W sekretariacie czekał już porucznik Kulik. Jedno spojrzenie na jego zadowoloną twarz powiedziało Cepryńskiemu wszystko.

- Nim zadam szablonowe pytanie: co nowego?-zwrócił się do sekretarki - pozwólcie, że zabawię się w detektywa. Drogą dedukcji doszedłem do tego, że przyszła pozytywna odpowiedź z Poznania w sprawie porucznika.

- Tak jest, obywatelu majorze! - sprężył się Kulik. - Zostałem oddelegowany na okres dochodzenia do dyspozycji obywatela majora. Panna Krysia ma dalekopis z Poznania.

- To dobrze. Bardzo dobrze - oświadczył Cepryński rzucając okiem na dalekopis. - Tym bardziej, że już zarezerwowałem dla was pokój w naszym hotelu przy Rakowieckiej. A teraz chodźcie, poruczniku, ułożymy sobie ordre de bataille. Nie wątpię, że panna Krysia uraczy nas znakomitą herbatą...

- mocną i gorącą - dokończyła panna Krysia.

- Patrzcie, jaka zdolna bestia. W myślach czyta! — wykrzyknął Cepryński, udając zdumienie.

- A więc, poruczniku - podjął sadowiąc się naprzeciwko Kulika przy niskim stoliku - postaramy się wspólnie rozwikłać naszą zagadkę z pospiesznego Warszawa- Szczecin. Posunęliśmy się już trochę naprzód...

I zapoznał Kulika z przebiegiem rozmów z Niekraszem, dyrektorem szpitala i doktor Tarkowską.

- Tyle na razie wiemy - zakończył. - Pora na wnioski.

- Obywatel major pozwoli?

- Nie tylko pozwoli, ale czeka na wasze zdanie.

- Wydaje mi się, teraz jeszcze bardziej niż poprzednio, że wersję napadu rabunkowego trzeba odrzucić.

- Jestem skłonny zgodzić się z wami.

- Niekrasz wydaje mi się najbardziej podejrzany. Narzędzie zbrodni, znajomość anatomii, w czym nas utwierdza bezbłądność ciosu, i wreszcie niewątpliwy motyw.

- Powiadacie, Niekrasz - powoli powtórzył Cepryński. - A Jolanta Kubis?

- Niewykluczone, obywatelu majorze, ale to kobieta...

- Co z tego, poruczniku? Ta sama znajomość anatomii, dostęp do narzędzi chirurgicznych i motyw także. A Tarkowska też chirurg. Czy nie za pochopnie wyciągacie wnioski?

Ale Kulik, mimo że nieco zmieszany, nie ustępował.

- A skaleczony palec Niekrasza? - przypomniał.

- To sobie wyjaśnimy przesłuchując pana docenta. Może skaleczył się rzeczywiście krając chleb?...

- W każdym razie dziwny zbieg okoliczności.

- Zbieg okoliczności zbiegiem okoliczności, a my za mało jeszcze wiemy, żeby ustawiać sobie przestępcę. Ale do rzeczy! Mieliśmy opracować, jak mówią Francuzi, ordre de bataille.

- Jeśli obywatel major pozwoli...

- Przestańcie być taki grzeczny, do cholery! - zaperzył się Cepryński, uśmiechając się jednak zza okularów. - Tu nie Wersal, tu komenda milicji. Walcie prosto z mostu.

- Ustaliłbym najpierw alibi Niekrasza i Kubis na noc, w której popełniono zbrodnię...

- A widzicie! A jeśli okaże się, że Niekrasz ma niezbite alibi, co wówczas z waszymi sugestiami? Ale nie mówmy hop.

Najpierw ustalmy alibi Niekrasza i jego dziewczyny. Mam taką propozycję: podzielimy się robotą. Niezbędne jest przesłuchanie Niekrasza i Kubis. Przyznaję, że sporo poszłak, lecz jak na razie tylko poszłak, przemawia przeciwko Niekraszowi. Gdy tylko wróci z Poznania, zaproszę go na przesłuchanie. Zobaczymy, co nam pan docent powie, bo jestem przekonany, że nie powiedział wszystkiego w czasie rozmowy w szpitalu. Tak... więc ja na siebie biorę Niekrasza, a wy zajmijcie się Jolantą Kubis. Porozmawiajcie sobie z nią, zobaczcie, co to za jedna. I przede wszystkim nie sugerujcie się tym, że to kobieta.

Cepryński zerknął na zegarek.

- Rany boskie! - zerwał się z fotela. - Już po piątej! Stara mi głowę urwie. Przyrzekłem, że będę punktualnie na obiedzie. Zainstalujcie się w hotelu, poruczniku, a jutro czekam na relację z rozmowy z panną Kubis. Cześć, cześć, cześć!...

W szpitalu cały personel, począwszy od portiera i salowych, a skończywszy na lekarzach, nie mówił o niczym innym, jak o napadzie na żonę Niekrasza. Sensacyjna wiadomość rozeszła się błyskawicznie i wniosła trochę ożywienia w codzienną monotonię szpitalnego życia. Jolanta Kubis, o której powiązaniach z Niekraszem wszyscy dobrze wiedzieli i dyskretnie milkli na jej widok, starała się jak mogła zapanować nad niezwykłym podnieceniem. Praca jej nie szła. Po dwa razy musiała sprawdzać leki przygotowane dla chorych w małych szklanych naparsteczkach. Przy dożylnych zastrzykach chorzy, którzy zwykle nie mogli się nachwalić jej zręczności, pojękiwali jak na torturach. Kłula po kilka razy, nim wprowadziła igłę do żyły.

Uparcie wracała jedna myśl: „Stało się! Nikt już nie stoi na drodze do spełnienia moich planów!” Niekrasz, gdy tylko dowiedział się o zbrodni, natychmiast pojechał do Poznania. Nawet jej nie zawiadomił, ale czyż może mieć o to pretensję? Jak to Jurek. Gdy tylko coś spadało na niego niespodziewanie,

od razu tracił głowę. Nie zdziwił jej też bardzo telefon portiera, że czeka na nią na dole oficer milicji. „Szybko się dowiedzieli-pomyślała - nic dziwnego, skoro wszyscy o nas wiedzą. A może sam Jurek powiedział? Dziś rano był u niego ktoś z milicji”.

Poprawiła czepeczek, obciągnęła białe fartuch i windą zjechała na dół. Po pustym o tej porze hallu przechadzał się młody człowiek. Śmiało podeszła do niego i z zadowoleniem skonstatowała, że oczekujący jest postawnym, bardzo przystojnym mężczyzną. Wyraźnie w jej typie. Bo Niekrasz... Cóż, to inna sprawa.

- Pan zdaje się na mnie czeka? - zapytała, wydobywając z arsenału swych uśmiechów ten najbardziej czarujący. - Jestem Jolanta Kubis.

Kulik obrzucił ją krótkim spojrzeniem. Dziewczyna mogła niejednemu zawrócić w głowie. Jasna blondynka, smukła i wysoka, o niezwykłych oczach - nieco skośnych i zielonych jak morze.

- Chciałem z panią porozmawiać...

- Domyślam się, że w sprawie wypadku pani Niekrasz

- przerwała mu. - Prawdę powiedziawszy, nie bardzo wiem, czy dowie się pan ode mnie czegoś ciekawego, ale proszę.

- Toteż nie zajmę pani dużo czasu - zapewnił Kulik. - Czy tu możemy porozmawiać?

- Proszę bardzo. O tej porze nie ma tu żadnego ruchu - odparła Jolanta siadając na ławce i zakładając wysoko nogę na nogę.

Kulik przysiadł obok niej.

- Pani zna docenta Niekrasza? - zaczął.

- Oczywiście. Wszyscy pracownicy szpitala znają pana docenta - w jej zielonych oczach zamigotał wesoły ogień. - Ale pan zapewne czeka, żebym potwierdziła, że znam go lepiej niż inni. Tak, nie mam zamiaru ani powodu niczego ukrywać, tym bardziej, że skoro pan do mnie przyszedł, to i tak pan wie o wszystkim. A więc tak. Od dwóch lat jestem przyjaciółką docenta Niekrasza.

Kulik, nie wiedząc czemu, poczuł się raptem dziwnie skrępowany wobec tej dziewczyny, której musi włożyć w

intymne życie. Natomiast dziewczyna nie zdradzała najmniejszego zażenowania.

- Jestem jego przyjaciółką. Jerzy mnie bardzo kocha, jest bardzo zaangażowany - ciągnęła - nieraz dał mi tego dowody...

- No, najważniejszego nie dał - zauważył Kulik.

- Ach, pan myśli o małżeństwie. Przyznam się panu, że początkowo liczyłam na to, że rozejdzie się z żoną.

- Więc czemu nie wniósł sprawy? Byli bezdzietni, nie miałby większych kłopotów z uzyskaniem rozwodu.

- Zapewne, ale pan nie zna Jerzego... to jest docenta Niekrasza. To bardzo dobry człowiek. Nie chciał krzywdzić żony, zdawał sobie sprawę, że nie jest już młoda, trudno by jej było urządzać sobie życie na nowo. Nie chciał jej skazywać na samotność...

- A czy nie-jest samotnością świadomość, że mąż, człowiek kochany, ma młodą, piękną przyjaciółkę?

- Jerzy krył się przed żoną...

- Wobec tego to pani jest godna współczucia.

Z twarzy Jolanty Kubis znikł uprzejmy uśmiech. Jej spojrzenie pociemniało i nabrało twardego wyrazu.

- To już, jeśli pan pozwoli, wyłącznie moja sprawa.

- Przepraszam - powiedział Kulik klnąc się w duchu za mimowolny nietakt. - Jeszcze jedno pytanie i nie będę dłużej przeszkadzał. Co pani robiła po pracy piątego listopada? Chciałbym wiedzieć, jak pani spędziła czas do rana dnia następnego. ,

- Po prostu ze szpitala wróciłam do siebie. Nigdzie po drodze nie wstępowałam, już przed szóstą byłam w domu.

- Czy pani mieszka z kimś?

- Mieszkam z koleżanką z naszego szpitala. Wynajmujemy wspólnie kawalerkę.

- Czyli koleżanka może potwierdzić pani obecność w domu w nocy z piątego na szósty listopada?

- Niestety nie. Wzięła kilka dni urlopu i pojechała do chorej matki.

- Ach, tak? A może ktoś inny potwierdzi? Może ktoś z sąsiadów, może ktoś panią odwiedził?

W zielonych oczach dziewczyny niechęć walczyła teraz z rozbawieniem.

- Chodzi panu o tak zwane alibi? Ależ to śmieszne! Czyżbym była podejrzana?

Niekrasz poleciał do Poznania południowym samolotem. Nie chciał jechać samochodem. Nie tylko dlatego, że listopadowa pogoda, nieprzerwana mżawka i mgła, nie sprzyjała długiej jeździe, ale doznał wstrząsu i nie czuł się na siłach prowadzić wozu.

Z lotniska udał się prosto do szpitala. Sekcja zwłok potwierdziła pierwsze orzeczenie. Śmiertelny cios został zadany chirurgicznym skalpelem. Zaprowadzono go do kostnicy. Czekał już tam oficer z komendy milicji. Dyrektor szpitala, dobry znajomy Niekrasza, nienaturalnie uroczyście i sztywny, podszedł do okrytego prześcieradłem ciała spoczywającego na kamiennym stole. Odchylił prześcieradło. Na twarzy Marty, ściągniętej i jakby woskowej, zastygł wyraz zdumienia. Niekrasz, mimo że jako lekarz przywykł do widoku zmarłych, tym razem poczuł suchość w gardle, zrobiło mu się niedobrze.

- Tak... - ledwo zdołał wykrztusić to jednp słowo.

Machinalnie podpisał protokół identyfikacji.

Jak szybko mija życie! Zdawało się, że zaledwie wczoraj poznał Martę, a przecież minęło już piętnaście lat. Operował ją. W jakiś czas po opuszczeniu przez nią szpitala poproszono go do telefonu. W słuchawce odezwała się Marta. Zakomunikowała, że czuje się znakomicie, że szwu prawie nie znać i że dziś robi oblewanie szczęśliwego ocalenia, którego on jest sprawcą. Będzie kilka osób i nie wyobraża sobie, żeby nie było go wśród nich.

Marta podobała mu się, a przede wszystkim łechtało miie jego męską ambicję wyraźne zainteresowanie, które okazywała mu jeszcze w szpitalu. Miała trzydzieści lat, była niezwykle efektowna, bardzo elegancka, przy tym niezależna. W czasie

pierwszej wizyty, podczas oblewania szczęśliwego „ocalenia”, zwróciła jego uwagę zamożność Marty. Willa, którą zajmowała na Żoliborzu, była urządzona ze znanstwem i smakiem. Umebłowanie dwóch dużych pokoiów na dole i obszernego hallu składało się z umiejętnie zestawionych antyków, obrazów o dużej wartości, oryginalnych perskich dywanów, gobelinów, sreber. To wszystko nie pozostało bez wpływu na jego późniejszą decyzję.

Gdy goście zaczęli się żegnać i Niekrasz poszedł za ich przykładem, Marta wręczając mu wizytówkę oświadczyła, że będzie czekać na jego telefon. Zadzwonił. Spotkali się raz, drugi... Pozwolił się zdobywać, bo to Marta, nie on, była stroną atakującą. Zresztą podobała mu się, odpowiadała mu jako kochanka, a przy tym wносиła w jego życie stabilizację, poczucie niezależności, które dają pieniądze. Wydawało mu się nawet, że jest zakochany, i w pierwszym okresie był szczęśliwy. Wkrótce jednak, w codziennym współżyciu, w którym niemożliwością jest udawać na dłuższą metę, w którym człowiek chcąc nie chcąc zdejmuje maskę zakładaną codziennie na użytek ludzi z zewnątrz, przyszły pierwsze wzajemne rozczarowania.

Marta przekonała się, że Niekrasz bynajmniej nie jest silnym, twardym mężczyzną. Był zdolnym chirurgiem, piał się coraz wyżej po szczeblach lekarskiej kariery, ale w gruncie rzeczy był mięczakiem, człowiekiem słabym i bez charakteru. Natomiast Marta była apodyktyczna, usiłowała go traktować jak swoją własność, nabytą i opłaconą. Atmosfera między nimi stawała się coraz cięższa, coraz mniej było harmonii i radości, coraz więcej nieporozumień, kłótni, milczenia.

Przy tym Marta, posiadaczka poważnego konta dewizowego i jeszcze większego złotówkowego, willi, której urządzenie można było szacować na miliony - była zachłanna. Biegała po salonach Desy, nawiązywała niezliczone kontakty z pokątnymi handlarzami obrazów, antyków, biżuterii, sprzedawała, kupowała, nie gardziła transakcjami przynoszącymi choćby kilkaset złotych. Była w niej jakaś niezrozumiała dla Niekrasza chęć ciągłego pomnażania swej fortuny, z której przecież

mogliby żyć nie tylko oni, ale nawet ich dzieci, gdyby je mieli, i wnuki.

Oddalali się od siebie coraz bardziej. W dalszym ciągu żyli pod jednym dachem, ale nie ze sobą, lecz obok siebie. Gdy Marta kiedyś zapadła na ciężką wirusową grypę, Niekrasz przeniósł się ze wspólnej sypialni do gabinetu. I tak już zostało. Zaczął miewać przelotne miłości, a potem zjawiała się Jola.

Uparcie dążyła do małżeństwa z Niekraszem. Teraz, gdy Marty nie było, nic nie stało na przeszkodzie nowemu związkowi. Niekrasz nie rozpaczał po Marcie, ale szczerze jej żałował. Zwyczajnie, po ludzku, jak żałuje się bliskiego przecież człowieka, z którym przeżyło się wspólnie tyle lat. Nie cieszył go fakt, że odziedziczy po Marcie cały majątek, nie cieszyła go również perspektywa stałego związku z Jolantą. Zdawał sobie przecież sprawę z różnicy wieku, jaka ich dzieliła.

Jolanta... Nagle skojarzył sobie jej uporczywe nastawienie na ożenek z jej nieobecnością w pracy nazajutrz po napadzie. „Nie! To niemożliwe” - powiedział prawie na głos, a dyrektor szpitala, który mu towarzyszył, spytał:

- Co niemożliwe, panie kolego?

- Ach, nic! Zaczynam mówić sam do siebie. Ale po takim wstrząsie...

Szybko załatwił formalności związane z przewiezieniem zwłok do Warszawy, pokwitował odbiór rzeczy Marty i wyjechał z Poznania pierwszym nocnym pociągiem. W domu był nad ranem. Wykąpał się, zrobił sobie mocnej herbaty i ledwo położył się, by trochę wypocząć po dniu pełnym wrażeń, zadzwonił telefon. Niekrasz zerknął na zegarek. Była ósma. Podniósł słuchawkę. Telefonował major Cepryński. Zapraszał go do Pałacu Mostowskich.

- Muszę pana przesłuchać jako świadka - wyjaśnił.

Rad nie rad Niekrasz ubrał się, zostawił karteczkę z dyspozycjami dla gosposi, wyprowadził samochód z garażu i za kilkanaście minut meldował się w gabinecie Cepryńskiego.

- Pragnę pana uprzedzić - zaczął Cepryński po przywitaniu - że jest to oficjalne przesłuchanie. Porucznik Kulik - wskazał

oficera siedzącego za maszyną do pisania - który wraz ze mną prowadzi śledztwo, będzie protokołował.

- Panie majorze, jakież ze mnie świadek? Nie jechałem przecież z żoną, nie byłem tam, nie wiem nic ponad to, czego dowiedziałem się od pana majora - powiedział Niekrasz, którego wymięta twarz, cienie pod oczyma zdradzały nie przespaną noc i ciężkie przejścia.

- A jednak wydaje mi się, że nasza rozmowa nie będzie straconym czasem - podjął Cepryński i przechodząc na oficjalny ton, dodał: - Pragnę świadka uprzedzić, że za utrudnianie śledztwa, za fałszywe zeznania lub ukrywanie prawdy może zostać świadek pociągnięty do odpowiedzialności karnej.

- Nie mam niczego do ukrywania, panie majorze. Proszę pytać.

- Proszę mi opowiedzieć, jak świadek spędził czas od chwili opuszczenia szpitala piątego listopada do ósmej rano dnia następnego?

- Pan mnie podejrzewa?! - oburzył się Niekrasz.

- Chciałem zwrócić uwagę, że tu pytania zadają ja. Słucham - spokojnie odpowiedział Cepryński, celowo utrzymując oficjalny ton przesłuchania.

- Cały czas spędziłem w domu. nie wychodziłem nawet za próg.

- Kto to może potwierdzić?

- Nikt.

- A gospościa?

- Gospościa jest na przychodnie. Nie mieszka z nami.

- Może przynajmniej ktoś telefonował?

- Nie. Byłem zdenerwowany, wyłączyłem telefon.

- Czym się świadek zdenerwował?

- Głupstwo! Posprzeczałem się z żoną. Dlatego nie odwiozłem jej na dworzec.

- A o co świadek się posprzeczał?

Niekrasz, nim odpowiedział, nerwowo przypalił papierosa.

- Jak to w małżeństwie. O jakieś głupstwo, nawet nie pamiętam...

Cepryński był pewien, że Niekrasz doskonale pamięta.

- A może świadek spróbuje sobie przypomnieć?

- Czy to może mieć jakieś znaczenie? Doprawdy nie wiem. Ostatnio stosunki między nami nie układały się najlepiej. Wystarczyło jakieś ostrzejsze słowo ze strony mojej czy Marty i już dochodziło do spięcia.

- Ha, trudno... - Cepryński zawiesił głos, nim rzucił następne pytanie: - Świadek zna Jolantę Kubis?

Niekrasz nie zdołał ukryć zaskoczenia i wyraźnego zmieszania. Nerwowym mchem wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i wprost pod nogi Cepryńskiego upadła mała karteczka. Cepryński schylił się, lecz nim oddał papierek właścicielowi, błyskawicznie rzucił okiem. Był to kwit z pralni „Opus” na odzież oddaną do prania nazajutrz po napadzie w pociągu.

- Czy znam panią Kubis? - powtórzył Niekrasz. - Oczywiście, przecież pracujemy w tym samym szpitalu.

- Hm... A może są to stosunki wykraczające nieco poza znajomość z miejsca pracy?

Niekrasz zerwał się z krzesła, twarz oblał mu rumieniec gniewu.

- A jeśli nawet znam bliżej panią Kubis, co to ma do rzeczy?

- Czy to ma coś do rzeczy, jak mówi świadek, czy nie ma, o tym my będziemy decydować, a na razie precyzuję pytanie: co świadka łączy z Jolantą Kubis?

Niekrasz, zrezygnowany, opadł z powrotem na krzesło.

- Jolanta Kubis jest moją przyjaciółką - oświadczył i zmieniając ton zapytał: - Gdzie ona jest? Czy ją podejrzewacie?...

- Podejrzewamy wszystkich, którym na rękę byłoby pozbycie się Marty Niekrasz - wyrębał Cepryński.

A Niekrasz, który nagle zwiotczał jak balon, z którego wypuszczono powietrze, wyszeptał:

- Ale przecież ona tego nie zrobiła! Nie mogła tego zrobić. Nie, nie!...

- Ale powód miała - ciągnął Cepryński.

- To niczego nie dowodzi! - Niekrasz znów był sobą, szok

minął. - Ja też, na upartego, miałem powód, a przecież nigdy bym się nie posunął do takiej podłości.

- Właśnie dlatego rozmawiamy, by doprowadzić do wykrycia osoby, która nie cofnęła się przed taką, jak mówi świadek, podłością.

- Przecież to był zwykły bandycki napad! - Niekrasz znów uniósł się z krzesła. - Obrabowano ją, zabrano wszystkie kosztowności, pieniądze, a wy komplikujecie sprawę zamiast szukać bandyty notowanego w waszych rejestrach.

- Niczego nie pomijamy, panie docencie, i proszę być pewnym, że dojdziemy prawdy. Morderca Marty Niekrasz odpowie za zbrodnię. A na razie dziękuję panu. Prosiłbym tylko, żeby pan nie opuszczał Warszawy bez naszej wiedzy.

- To prośba czy polecenie?

- Powiedzmy, że polecenie. Może pan być jeszcze potrzebny. Proszę teraz przeczytać protokół przesłuchania i podpisać:

Niekrasz, nie czytając protokółu, złożył pod nim zamaszty podpis i skłoniwszy się sztywno, wyszedł.

- No i co? - zagadnął Cepryński Kulika przerzucając protokół.

- Coś ukrywa, obywatelu majorze. Trudno uwierzyć, by nie pamiętał, o co posprzeczał się z żoną. Zwłaszcza tuż przed jej wyjazdem na kilka miesięcy.

- Dobrze. Bardzo dobrze. I muszę wam powiedzieć, że w czasie mojej pierwszej rozmowy w szpitalu Niekrasz też nie był zupełnie szczery. Gdy go zapytałem, co z kosztowności miała przy sobie jego żona, wyraźnie się zawahał, nim odpowiedział. Też mu pamięć nie dopisywała.

- A może to się łączy, obywatelu majorze? Sprzeczką przed wyjazdem i to, co zabrała ze sobą Marta Niekrasz? Może coś przemyślała?...

- Opamiętaj się, człowieku! Chyba nie posądzasz osoby tak majątej o szmugiel.

- A jednak, obywatelu majorze... Może miała przy sobie coś naprawdę wartościowego? A wówczas...

- Co wówczas?

- Wówczas rabunek mógłby być motywem działania.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Tylko rabusia należałoby szukać w kręgu najbliższego otoczenia Marty Niekrasz. Bo niby skąd zwykły bandzior wiedział, co wiezie z sobą?

- Oczywiście, obywatelu majorze - zgodził się Kulik. - A czy obywatel major zwrócił uwagę na pewien szczegół? Niekrasz dopuszcza możliwość, że zbrodnię popełniła Jolanta Kubis.

- Zwróciłem, a jakże. Tylko jak do tego doszedł? Czyżby również wpadł na wasz genialny pomysł z rozkładem jazdy? Wątpię...

- Obywatel major kpi sobie ze mnie - z wyrzutem w głosie powiedział Kulik.

- Otóż wcale nie kpię. Wasza koncepcja coraz bardziej trafia mi do przekonania i trzeba będzie pójść jej śladem.

- Jeśli chodzi o podejrzenia Niekrasza, to wcale nie musiał sięgać do rozkładu jazdy. Sprawdziłem, że Kubis odbierała sobie szóstego, nazajutrz po nocy zbrodni, wolny dzień. Nie było jej w pracy.. Niekrasz o tym wie i stąd jego skojarzenia. A w ogóle to mi się ten cały docent nie podoba. Nie potrafię tego sprecyzować, ale ustawiłbym go jako podejrzanego numer jeden.

- Oj, wy młodzi, wy młodzi! Szybcy jesteście w ustawianiu podejrzanych. A uczono was w szkole oficerskiej o presumpcji niewinności?

- Tak jest, obywatelu majorze!

- I co? Uważacie zapewne, że zasada presumpcji to tylko teoria prawna? Otóż zapamiętajcie sobie: to się wam przyda i teraz, i w przyszłości, że organa śledcze muszą zawsze wychodzić z zasady presumpcji niewinności podejrzanego. To nie Niekrasz lub ktoś inny musi udowodnić swoją niewinność, lecz my musimy udowodnić winę na podstawie dowodów. A czym my rozporządzamy? Zaledwie poszlakami. To jeszcze mało dla prokuratora i diablo mało dla sądu. Nie działajcie pochopnie. Pamiętajcie, że póki wina nie została udowodniona zgodnie z literą prawa, człowiek uważany jest za niewinnego. Pamiętajcie też, że pierwsza koncepcja sprawy nie zawsze jest koncepcją słuszną, nie zawsze się sprawdza... Uff, zmachał mnie ten wykład - zakończył Cepryński. - Myślę, że

zasłużyliśmy na szklanę gorącej herbatki.

- I mocnej - nie bez złośliwości dorzucił Kulik.

- Dobrze. Bardzo dobrze. Wyrabiacie się w oczach. Będą z was jeszcze ludzie.

Gdy gorąca i mocna herbata dymiła się na stoliku, Cepryński podjął przerwana rozmowę.

- Więc, poruczniku, pójdziemy śladem pospiesznego do Szczecina. Śladem waszej koncepcji.

Kulik aż poczerwieniał z zadowolenia.

- Zdobędzicie fotografie Niekrasza i Kubis. Pokażecie je obsłudze pospiesznego, pracownikom dworca w Koninie, kelnerom restauracji dworcowej, może sobie coś przypomną. Ale najpierw pójdziecie do pralni „Opus” i ustalicie, jaką część garderoby oddał Niekrasz do pralni i jakiego rodzaju były na niej plamy. - Widząc zdziwioną minę Kulika, wyjaśnił: - Ta karteczka, która wypadła Niekraszowi z kieszeni, to był kwit z pralni „Opus”. Z datą szósty listopada.

Kulik był zadowolony z siebie. Przyjęcie koncepcji opartej na rozkładzie jazdy pociągów przez takiego wygę, jak major Cepryński, mile lechało jego ambicję. Wdzięczny był majorowi Wachowiakowi, że załatwił mu oddelegowanie do sprawy Marty Niekrasz. Sprawa była niewątpliwie ciekawa i trudna, chociaż jej trudność, według Kulika, polegała jedynie na zdobyciu dowodów przestępstwa. Bo niech sobie Cepryński mówi co chce o zasadzie presumpcji niewinności, a Kulik jest głęboko przekonany, że to Niekrasz załatwił swoją żonę. Z jakiej strony by nie spojrzeć na sprawę, wszystko wskazuje, że Niekrasz był najbardziej zainteresowany w pozbyciu się żony. Stawał się panem jej majątku i mógł ożenić się z piękną Jolantą. Facet jest bystry, inteligentny, wykoncypował zbrodnię prawie doskonałą. Dla odsunięcia od siebie podejrzeń sfinnował napad rabunkowy, zabrał żonie złoty zegarek, pieniądze i dewizy. Tylko że przedobrzył sprawę, zabierając jej również wszystkie dokumenty, nawet notesik.

Który zawodowiec tak robi? Po co? No i popełnił jeszcze jeden błąd. Zasadniczy. Posłużył się skalpelem. I to jest chyba najpoważniejsza poszlaka. Słowem - motyw i poszlaki uparcie wskazują na osobę przystojnego docenta.

W ciasnym pomieszczeniu pralni „Opus” jak zwykle panował tłok. Kilkadziesiąt osób czekało w dwóch kolejkach. Jedni na przyjęcie garderoby, drudzy na jej odbiór. Kulik szybko zorientował się, że bezręki jegomość, nadzorujący za ladą pracę personelu, jest szefem interesu. Poprosił go dyskretnie na bok i wyłuszczył, o co chodzi.

- Zaraz wszystko sprawdzimy, panie poruczniku - zapewnił właściciel pralni, przechodząc wraz z Kulikiem do równie ciasnego, a nieporównanie bardziej dusznego pomieszczenia na zapleczu. - Ewidencję przyjmowanej garderoby prowadzimy z wielką dokładnością. Pan rozumie, zdarzają się reklamacje, czasem coś zginie, zostanie zamienione, więc dokumentacja musi być w idealnym porządku. Proszę, niech pan siada - podsunął Kulikowi taboret. - Garderoba oddana szóstego listopada...

- Tak - potwierdził Kulik - przez Jerzego Niekrasza.

- Momencik, panie poruczniku.

Właściciel zniknął na chwilę, po czym powrócił z grubym skoroszytem kwitów.

- Proszę, to wszystkie kwity na garderobę przyjętą szóstego listopada. Trochę to potrwa, ale zaraz znajdziemy ten kwit, o który panu chodzi.

Skrupulatnie wertował kwity, wreszcie zatrzymał się na jednym.

- Jest! Proszę, panie poruczniku. Jerzy Niekrasz, tak... Oddał do czyszczenia marynarkę popielatą tweedo- wą, wartość sześćset złotych... Jest to naturalnie wartość uznana przez osobę przyjmującą, bo pan rozumie, że...

Ale Kulika nie interesowały kulisy działalności pralniczej firmy „Opus”, przerwał więc wywód i zapytał:

- Czy można obejrzeć tę marynarkę?

- Oczywiście! Zaraz ją przyniosę.

I znowu zniknął, tym razem na dłużej. Wreszcie wrócił z

triumfującą miną, niosąc pięknie wyczyszczone i wyprasowaną marynarkę.

- Proszę spojrzeć. Najmniejszej plamki! -demonstrował z dumą w oku.

- A niech to szlag trafi! - nie mógł powstrzymać się Kulik.

- Słucham? - bąknął zdumiony właściciel.

- Nic, nic. Tylko chciałbym wiedzieć, jakie to były te pięknie wyczyszczone plamy?

- Niestety, rodzaju zanieczyszczeń garderoby nie notujemy, ale zaraz, zaraz... Panno Jadziu! - krzyknął w stronę kantorka - kto przyjmował garderobę w środe szóstego?

Na zapleczu ukazała się panna Jadzia w białym fartuchu okrywającym jej skąpe spodnie odzienie, zgrzana i zaczerwieniona od panującego w pralni gorąca.

- Ja i Zosia, panie szefie - oświadczyła, uśmiechając się zalotnie do Kulika i obciążając rozchylający się fartuch.

- Niech was na chwilę ktoś zastąpi, a wy obie chodźcie tutaj - zadysponował właściciel, a gdy zjawiała się również panna Zosia, zapytał: - Przypomnijcie sobie, kochane, która z was przyjmowała tę marynarkę? Bo, panie poruczniku, zwykle przyjmująca pyta klienta, z czego są plamy. Różne plamy wymagają różnego czyszczenia, a są i takie, które nie dadzą się wywabić...

- To ja odbierałam tę marynarkę -ucieszyła się Jadzia i znów uśmiechnęła się zalotnie. - Przypominam sobie doskonale. Przyniósł ją taki przystojny szpakowaty pan. To było już po południu - dodała.

- A może przypomina sobie pani, w którym miejscu i z czego były na niej plamy? - zapytał Kulik, dla którego w tej chwili pamięć panny Jadzi była ostatnią szansą uchwycenia, kto wie, czy nie koronnego dowodu.

- Oczywiście. Plamy były na rękawie. Nawet zapytałam tego pana, bo my przeważnie pytamy klientów, czy to tłuszcz. A on odpowiedział, że to krew.

- Dziękuję, panno Jadziu! Bardzo dziękuję-uśmiechnął się Kulik. - Nawet nie ma pani pojęcia, jakie to było ważne. Przypuszczam, że się jeszcze zobaczymy, a na razie do

widzenia.

Zdobicie fotografii Niekrasza i Kubis u personalnego w szpitalu nie nastęrczało żadnych trudności. W ogóle Kulik miał tak zwany dobry dzień. Drużynę konduktor- ską, która z piątego na szósty listopada prowadziła pospieszny do Szczecina, złapał wieczorem w depot w Szczęśliwicach, gdzie szykowała się do przejęcia składu odchodzącego do Jeleniej Góry. Kierownik pociągu i dwójka konduktorów miała jeszcze żywo w pamięci niedawne wydarzenie.

- Panie poruczniku, ujęliście już tego łobuza? - spytał kierownik pociągu.

- Jeszcze nie. Sprawa nie jest łatwa. Mamy co prawda pewne podejrzenia, ale musimy wszystko sprawdzić, nim przymkniemy faceta - odpowiedział Kulik. - Dlatego was odszukałem.

- Wszystko żeśmy już panu powiedzieli. Niewiele tego było - oświadczyła konduktorka. - Teraz w pociągach, zwłaszcza nocnych, niewielki ruch. Tylko popełniać przestępstwa. Konduktor wszystkiego nie dopilnuje.

- Toteż nikt nie ma do was pretensji - zapewnił Kulik.

- Ale może zapamiętaliście tych pasażerów?

I Kulik pokazał im oba zdjęcia. Oglądali je uważnie, wyteżali pamięć, ale widać było po minach, że fotografie nic im nie mówią.

- Panie poruczniku - odezwała się konduktorka, oddając zdjęcia - jestem pewna, że żadna z tych osób nie jechała wówczas w moich wagonach. Takie twarze się zapamiętuje. On bardzo przystojny i taki jakiś inny, nie zwyczajny, a ona piękna. Jak z zagranicznej reklamy, albo gwiazda filmowa. Nie, panie poruczniku, mogę przysiąc, że ich nie widziałam.

- A panowie? - zwrócił się Kulik, nie tracąc jeszcze nadziei, do kierownika pociągu i drugiego konduktora.

Obaj przecząco pokiwali głowami.

- Nie. Nie zauważyliśmy takich pasażerów - oświadczyli zgodnie.

Nie było sensu dłużej ich molestować. Kulik pożegnał się. Pozostał jeszcze dworzec w Koninie. Może tam ktoś Dędzie

miał lepszą pamięć? Chociaż Kulikowi utkwiły w głowie słowa konduktorki: „Takie twarze się zapamiętuje”. Chyba miała rację. I Niekrasz, i piękna Jolanta nie należeli do ludzi tuzinkowych. Wyróżniali się z otoczenia. Czyżby jego teoria, której nie zlekceważył sam Cepryński., miała wziąć w łeb?

Wrócił jeszcze do Pałacu Mostowskich. Cepryńskiego już nie było. Zostawił mu więc raport z wizyty w pralni „Opus” i z przesłuchania drużyny konduktorskiej oraz zawiadomienie, że jedzie do Konina.

Wyjechał pierwszym pociągiem. Na dworcu w Koninie pokazywał fotografie dyżurującym wówczas kasjerowi, kelnerom i bufetowej w restauracji dworcowej, dyżurnemu ruchu, funkcjonariuszom z posterunku milicji, SOK- istom. Wszyscy, mimo - jak oświadczyli - słabego ruchu pasażerskiego w tym sezonie, zaprzeczali, by widzieli na dworcu podróżnych ze zdjęć.

Tak więc niewyspany i w nie najlepszym nastroju wracał Kulik nazajutrz do Warszawy.

Podczas gdy Kulik zajmował miejsce w pociągu do Konina, Niekrasz, po dniu wypełnionym załatwianiem niezbędnych formalności związanych z pogrzebem żony, szykował sobie kąpiel. Już miał wchodzić do wanny, gdy u drzwi rozległ się dzwonek. Rad nie rad narzucił szlafrok i wyszedł do obszernego przedpokoju. Spojrzał przez wizjer. Przed drzwiami stała Jolanta. Otworzył.

Nie bacząc na ociekający wodą płaszcz, zarzuciła mu na szyję ramiona i przywarła do niego całym ciałem.

- Jerzy, Jerzy!... — szeptała. - Nie odezwałeś się do mnie, nawet nie zatelefonowałeś. Jak mogłeś!

- Zdejmij płaszcz, kochana - Niekrasz wyzwolił się z jej objęć - cała jesteś mokra.

Jolanta zdjęła płaszcz i czapkę, rozsypały się złotą falą bujne, gęste włosy.

- Boże, jak ty wyglądasz! - wykrzyknęła. - Oczy podkrążone,

schudłeś chyba z dziesięć kilo. Trzepnęło cię zdrowo, co?

- Och, daj spokój - denerwowała go, jak zwykle, pewna trywialność w sposobie wysławiania się Jolanty.

- Biedny mój mały - Jolanta znów się przytuliła - pewnie nic nie jadłeś. Bo ty, jak się coś dzieje, zupełnie tracisz głowę. Czemu nie dałeś znaku życia? Zajęłabym się tobą. Wiesz co? Zostanę na noc. Nie zostawię cię samego z tymi ponurymi myślami. Bo ty się naprawdę przejmujesz tym wszystkim!

- No wiesz, Jolu! Dziwię ci się. Jak możesz...

- Jak możesz, jak możesz - przedrzeźniała go. - Pokaż lepiej, co masz w lodówce, to zrobię coś do zjedzenia. A z tym przejmowaniem się, to daj spokój. Przede mną nie musisz udawać.

- Jolanta! - wybuchnął Niekrasz. - Błagam cię, zamilcz!

- Ooo, podnosisz już głos? Jeszcze nie jestem twoją żoną, mój panie. A z tym zamartwianiem się, to naprawdę daj spokój. Przecież nie kochałeś jej, miałaś jej powyżej uszu. A może tylko tak mówiłeś, może czarowałaś, żeby się ze mną od czasu do czasu przespać?...

- Daj spokój. Jakkolwiek jest, Marta nie żyje. Została zamordowana.

- A wiesz co? Był u mnie wczoraj w szpitalu porucznik z milicji. Przystojny, w moim typie! Oni już wszystko wiedzą.

Niekrasz zbladł.

- Co wiedzą, Jolu?

- Co ci się stało? Zbladłeś, jakbyś za chwilę miał zemdleć. O nas wszystko wiedzą. O tobie i o mnie. No, idź się wykąp, a ja tymczasem przygotuję coś do zjedzenia. Tylko nie utop się z tej rozpacz - dorzuciła i zniknęła w kuchni.

Niekrasz wykapał się. Kąpiel jakby odświeżyła go trochę, zlikwidowała fizyczne zmęczenie ostatnich dni, przywróciła spokój i jasność myśli. Jolanta przygotowała kanapki i herbatę. Bez apetytu przełknął coś niecoś i gdy już leżeli w ciemnościach obok siebie, przytulił dziewczynę i spytał:

- Kochanie, czemu nie byłaś w szpitalu tego dnia?

- Mówiłam ci już. Odbierałam wolny dzień.

- Jolu, bądź ze mną szczerą. Przecież wiesz, jak bardzo cię

kocham, wiesz, że nie mam nikogo droższego i bliższego...

Dziewczyna uniosła się na łokciu i Niekrasz usłyszał jej śmiech.

- Oszalał, jak Boga kocham, oszalał! Czyżbyś myślał, że to ja pomogłam Marcie przenieść się na tamten świat? To ja raczej ciebie mogłabym posądzać...

Prosto z dworca Kulik udał się do komendy. Cholerna sprawa! Wszystko układa się w logiczną całość, klocki łamigłówek zdają się pasować do siebie, a tu raptem taki impas! Nikt, ani z obsługi pociągu, ani z dworca w Koninie, nie rozpoznał Niekrasza czy Jolanty. A może to był ktoś podstawiony, za sowitym wynagrodzeniem, do brudnej roboty? Ale skądże Niekrasz miałby znajomości w przestępczym świecie? Chociaż... Operował wielu ludzi, może trafił się wśród nich jakiś przedstawiciel marginesu? Trzeba będzie sprawdzić, choć pewnie nie będzie to łatwe.

W sekretariacie powitała go panna Krysia, wyraźnie darząca Kulika względami.

- Już z powrotem? Tak szybko? - w jej głosie zabrzmiało nie ukrywane zadowolenie na widok porucznika. - Major z samego rana dostał pański meldunek.

- Ico?

- Jak zwykle. Powiedział „dobrze, bardzo dobrze” i ponownie wezwał docenta Niekrasza. Właśnie go przesłuchuje.

A Niekrasz, siedząc przy biurku naprzeciwko Cepryńskiego, szczegółowo relacjonował, co robił przez ca dzień po wyjeździe żony. Cicho stukala maszyna do pisania, za którą Cepryński posadził wprawna maszynistkę. Niekrasz, choć wyraźnie przybity, wydawał się spokojniejszy niż poprzednio.

- Jak zwykle - rozpoczął - o godzinie ósmej byłem już w szpitalu. Ponieważ, jak pan major wie, skaleczyłem się w palec, tego dnia nie operowałem. Normalnie odbył się obchód chorych, potem wydałem lekarzom i personelowi zwykle dyspozycje i zająłem się papierkową robotą, której, niestety,

nie szczędzą nam, lekarzom. Potem była odprawa u dyrektora. Mówiło się o remoncie, który sukcesywnie będą przechodzić wszystkie oddziały. Odprawa się nawet przeciągnęła, tak że w domu byłem dopiero po piątej. Prosto ze szpitala pojechałem do domu. Nigdzie nie wstępowałem. A potem... pot.em... -Niekrasz zastanawiał się chwilę. - Aha, potem zawiozłem do pralni marynarkę, a że dochodziła już siódma, z pralni pojechałem prosto do znajomych na brydża. To byłoby wszystko...

- A ta marynarka? - zainteresował się Cepryński. - Dawno nie była prana, czy może ją pan ostatnio zaplamiał?

- Prawdę powiedziawszy, nie rozumiem pańskiego zainteresowania marynarką, ale dochodzę już do tego, że przestaję się czemukolwiek dziwić. Tak, zaplamiałem ją sobie.

- Czym, jeśli można wiedzieć?

- Po wyjeździe żony krajałem chleb i skaleczyłem się nożem kuchennym. Palec krwawił dość silnie i kilka kropel krwi kapnęło na rękaw.

- Więc poplamiał pan marynarkę krwią - wycodził Cepryński.

I wówczas Niekrasz skojarzył sobie: krew - Marta.

Nagłym ruchem zerwał plaster z palca, na którym widniał nie zagojony jeszcze ślad po głębokim zacięciu.

- A więc pan mnie podejrzewa!

Z oczu Cepryńskiego znikł goszczący tam stale uśmiech, stały się twarde, twarz straciła swój jowialny wygląd.

- Tak! - potwierdził, obserwując bacznie Niekrasza. - U podłoża każdej zbrodni leży jej motyw. Pan ten motyw miał. Podwójny motyw. Majątek żony i romans z Jolantą Kubis.

Niekrasz słuchał osłupiały, a potem ukrył twarz w dłoniach.

- Boże! - wyszeptał-Boże!... Nigdy nie byłbym zdolny do czegoś takiego...

I gdy Cepryński oświadczył mu, że na dziś wystarczy i jest wolny, zapytał:

- To pan mnie nie aresztuje?

- Ja pana nie oskarżam, panie docencie. Ja pana tylko podejrzewam. A od podejrzenia do oskarżenia droga jeszcze daleka.

- Panie majorze, nie znam się na tych waszych subtelnościach. Dla mnie podejrzany czy oskarżony - to w aspekcie moralnym na jedno wychodzi. Jak mam pana przekonać, że nie mam nic wspólnego ze śmiercią żony?

Że całą noc spędziłem normalnie w swoim łóżku, że...

Cepryński mu przerwał.

- Nie musi pan udowadniać swojej niewinności. To my musimy udowodnić zbrodniarzowi jego zbrodnię. I udowodnimy, kto by nim nie był. Tego może pan być pewien. A na razie dziękuję i do widzenia, bo na pewno będziemy musieli jeszcze nieraz się spotkać.

Niekrasz jednak nie spieszył się do wyjścia.

- Ja pana nie rozumiem, panie majorze - podjął na nowo wyrażnie poruszony. - Jakże ja mógłbym jechać tym samym pociągiem, co Marta, i nazajutrz, jak co dzień, punktualnie o ósmej znaleźć się w szpitalu? Jakim sposobem? Przecież nie mam do dyspozycji helikoptera.

- A jednak był taki sposób - spokojnie oświadczył Cepryński. - Sprawdziliśmy. Może pan rzeczywiście spał w swoim łóżku, bo kto inny na pańskie zlecenie robił brudną robotę, przy której można sobie poplamieć rączki. A także marynarkę - dodał.

- To, co pan mówi, jest niegodziwe! - obruszył się Niekrasz. - Pan mnie obraża i pan za to odpowie. Nie ma pan żadnych podstaw...

- Może pan złożyć zażalenie na niewłaściwe prowadzenie śledztwa. Nel pewno zostanie wnikliwie rozpatrzone. A przy okazji pragnę pana poinformować, że nie miałem zamiaru obrażać pana. Prowadząc śledztwo musimy zakładać rozmaite warianty zbrodni, by stopniowo, odrzucając warianty fałszywe, dojść w końcu do sedna sprawy.

- Przepraszam pana, majorze - Niekrasz powoli wracał do siebie. - Pan chyba rozumie moje zdenerwowanie. Przez całe życie nie przeżyłem tyle, co w ciągu tych ostatnich dni. Chciałbym, żeby pan uwierzył, że jestem niewinny.

- Założmy nawet - odpowiedział Cepryński - że osobiście nie wierzę, by pan popełnił ten czyn. Ale jako prowadzący

śledztwo muszę pana podejrzewać, podobnie jak inne osoby, na które wskazują poszlaki.

- Rozumiem, ale po co miałbym zabijać Martę, skoro mogłem się z nią po prostu rozejść?

- Ale pan tego nie zrobił. Dlaczego?

- Nie mogłem się zdecydować...

- Dlaczego? - nie ustępował Cepryński.

Niekrasz milczał.

- Nie musi pan odpowiadać - kontynuował Cepryński. - Jeśli jednak pan chce pomóc sobie i mnie, to musi pan być absolutnie szczery. To najlepszy i jedyny sposób odsunięcia od siebie podejrzeń.

- Już panu powiedziałem, że nie mam niczego do ukrywania.

- Chciałbym w to wierzyć - zakończył Cepryński, wyciągając do Niekrasza rękę na znak pożegnania.

Ledwie Niekrasz opuścił gabinet, zameldował się porucznik Kulik. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i wyraźny zawód.

- Jak tam w Koninie? - zapytał Cepryński, choć z góry podejrzewał, że skoro obsługa pociągu nie zapamiętała pasażerów z przedstawionych zdjęć, to samo będzie na dworcu w Koninie.

- Obywatelu majorze, pokazałem fotografie komu tylko się dało. Nikt nie rozpoznał.

- Hm... A więc od tej strony kłapa! - skonstatował Cepryński.

- Wasza koncepcja się wali, poruczniku.

- Tak jakby...

- A więc należałoby wyeliminować i Niekrasza, i Kubis. I zacząć wszystko od zera.

- Niezupełnie, obywatelu majorze. Załóżmy, że w pociągu działał ktoś trzeci, ale podstawiony przez Niekrasza.

- Lub Kubis - uzupełnił Cepryński. - Dobrze. Bardzo dobrze.

- Zakładam, że Niekrasz, przez którego ręce przeszły setki chorych, mógł operować również niejednego osobnika z marginesu. Jeśli obywatel major pozwoli, zajmę się sprawdzeniem, kto należał do pacjentów Niekrasza, przynajmniej w ostatnich latach.

- Dobrze. Bardzo dobrze - zgodził się Cepryński. - Zajrzyjcie do szpitalnej ewidencji, może dowiemy się czegoś ciekawego. Muszę wam powiedzieć, że też o tym myślałem. No, to powodzenia, a ja sobie to wszystko, co na razie wiemy, spróbuję złożyć do kupy.

Gdy Kulik wyszedł, Cepryński poprosił sekretarkę, by nikt mu nie przeszkadzał, zamknął oczy, bo tak mu się lepiej myślało, i przystąpił do podsumowania.

Parszywa sprawa! Trudniejsza, niż mogłoby się zdawać. Same poszlaki, jak dotychczas nie ma żadnego dowodu, poszlaki obciążają jednoznacznie Niekrasza, ale są one. zbyt wątle, by przekazać sprawę prokuraturze. Teoria Kulika jest inteligentna, ale nikt nie rozpoznał fotografii. A ktoś przecież by sobie przypomniał. Konduktorka miała rację: takie twarze się pamięta. A może charakteryzacja? Raczej nie. Gdyby w grę wchodził aktor, ale lekarz i pielęgniarka?... Chociaż... Wystarczyło, by Niekrasz zorganizował sobie sfatygowaną kufajkę, na głowę włożył czapkę z nausznikami, słowem, by przedzierzgnął się w podróżującego robotnika i nie potrzeba żadnej charakteryzacji. Taki strój nie kojarzył się absolutnie z fotografią, na której widniała typowo inteligencka twarz. Gdyby tak było, to nic dziwnego, że nikt nie rozpoznał Niekrasza, nie skojarzył twarzy przystojnego pana z fotografią z twarzą jakiegoś tam robociarza. Trzeba będzie u Niekrasza przeprowadzić rewizję. Jeśli ma rację, to znajdą u niego elementy przebieranki.

Możliwe również, że Kulik trafi na ślad jakiejś znajomości Niekrasza w świecie przestępczym. Bystry chłopak z tego Kulika. Może jeszcze zbyt zapalczywy, za szybki w formułowaniu podejrzeń, ale myślący i kojarzący fakty. Będzie na pewno dobrym oficerem dochodzeniowym.

Cepryński nie był zadowolony z wyników dotychczasowych przesłuchań Niekrasza. Nie tylko dlatego, że Niekrasz wyraźnie coś ukrywał, a to już jest podejrzane, lecz przede wszystkim dlatego, że nie udało mu się nawiązać z lekarzem kontaktu psychicznego, tak istotnego przy prowadzeniu przesłuchań. A przecież Cepryński, doświadczony oficer

dochodzeniowy, umiał nie tylko pytać, ale - co może jeszcze ważniejsze - umiał również słuchać. Niekrasz denerwował się, ale podczas śledztwa przesłuchiwany denerwuje się nie tylko wtedy, gdy jest winny. Cepryński pamiętał, że chociaż dla niego śledztwo to chleb powszedni, to przesłuchiwany, a tym bardziej podejrzany, może zapamiętać je na całe życie.

Jeżeli wykluczyć ze sprawy Niekrasza i Kubis, zwłaszcza jeśli Kulik nie wpadnie na żadne kontakty Niekrasza z kimś podejrzanym, to musi być ktoś trzeci, ale kto? Jaki motyw? Rabunek? Niekraszowej zabrano zegarek, dewizy, pieniądze. Morderca nie zdjął tylko z palców pierścionków. Jasne, nie miał czasu, obawiał się, że każdej chwili może ktoś nadejść. Cepryński jednak nie wierzył w rabunek. Zbyt wiele tu było zbiegów okoliczności. Zbrodnię popełniono skalpelem, co potwierdziła sekcja zwłok. Cios był bezbłędny, świadczący o znajomości anatomii. Poszlaki i motyw uparcie wskazują na Niekrasza lub Kubis, ale przede wszystkim Niekrasza.

Cepryński otworzył oczy i głośno, soczyście zaklął. Jeżeli Kulik na nic nie natrafi, jeżeli nic nie przyniesie rewizja u Niekrasza, będzie to znaczyło, że śledztwo utknęło w martwym punkcie.

Prokurator, aczkolwiek bez entuzjazmu, wydał Cepryńskiemu nakaz rewizji u Niekrasza. Jeszcze tego samego wieczoru, po odprawie i zabraniu trzech funkcjonariuszy, specjalistów od tego rodzaju operacji, Cepryński zadzwonił do drzwi willi docenta.

- Przykro mi, że pana wciąż niepokoję - przywitał Niekrasza, okazując mu nakaz rewizji.

- Moglibyście panowie poczekać i załatwić to chociaż jutro. Po pogrzebie - słabo zaoponował Niekrasz.

- Rozumiem pana i naprawdę mi przykro, ale dla dobra śledztwa nie możemy czekać. Czy jest ktoś z domowników, kto mógłby asystować przy rewizji?

- Gospościa jeszcze nie wyszła. Jeśli to niezbędne, może być

świadkiem.

Funkcjonariusze sprawnie przystąpili do rewizji. W gabinecie, który Niekrasz urządził sobie w jednym z pokoi, połyskiwał cały komplet chirurgicznych narzędzi. Cepryński kazał je zabezpieczyć i przekazać do zbadania w laboratorium komendy na ślady krwi, a tymczasem gwarzył sobie na stronie z przejętą gosposią, panią Leokadią Brysiak.

- Taka tragedia, proszę pana, taka tragedia - powtarzała pani Brysiak. - Po co to było tyle jeździć, tyle szwendać się po świecie? Siedziałyby w domu, to by żyła do dziś.

- To z pani Niekrasz była taka zawołana podróżniczka? - zapytał Cepryński z zachęcającym uśmiechem.

- Stale gdzieś wyjeżdżała.' A to do Wiednia, a to do Berlina, do Budapesztu, do Turcji, do Włoch...

- Tak turystycznie?

- I turystycznie, i nie turystycznie. Bo z tych wyjazdów zawsze coś przywoziła, a jak wyjeżdżała, to też zawsze coś ze sobą wiozła.

- Na handel?

- Ano, tak wynika.

- A co, na przykład, wozila na ten handel?

- A bo ja wiem? Nie mówiła mi, a ja się nie interesowałam. Mało to mam roboty? Taką willę utrzymać w porządku, to nie w kij dmuchał. Wiem tylko, że ile razy wyjeżdżała, to strasznie klóciła się z panem.

- O cóż się tak klóciła?

- Że pan nie chce z nią jeździć. Mówiła, że samochodem byłoby poręczniej. Bo sama nie umiała kierować samochodem.

Tę rozmowę, dającą nieco do myślenia, przerwał sierżant, niosący kufajkę, watowane spodnie, gumowe buty i берет. Cepryński, gdy to zobaczył, drgnął.

- Znalazłem to, obywatelu majorze, w garażu - meldował funkcjonariusz.

- To pańska własność, panie docencie? - zapytał Cepryński.

- Moja. Jeźdź w tym na ryby.

- Widać, że niedawno używał pan tego stroju - skonstatował Cepryński oglądając uważnie kufajkę.

- Jeszcze w październiku jeździłem nad Narew. Ryby to moja pasja.

- I tylko na ryby pan w tyfl jeździł?

- Nie sądzi pan chyba, że do pracy.

- Nie. Nie sądzę. Ale pan nie odpowiedział na pytanie.

- Więc odpowiadam. Tylko na ryby.

- Pan pozwoli, że to na razie zatrzymamy.

Wydał polecenie, by znalezioną odzież również przekazać do laboratorium.

A więc wersja z przebieranką docenta nie była pozbawiona podstaw. Nowa poszlaka, ale znowu tylko poszlaka. Zobaczmy, jaki będzie wynik ekspertyzy laboratoryjnej.

Gdy w towarzystwie pani Brysiak, która orzekła, że już swoje zrobiła i też idzie do domu, opuszczali willę Niekrasza, w drzwiach zderzyli się z Jolantą Kubis.

- Co ja widzę! - wykrzyknęła na widok mundurów. — Miałeś gości. Jakie to miłe z panów strony!...

Cepryński pominął ironiczną uwagę milczeniem, za to Niekrasz, gdy tylko drzwi się zamknęły i znalazł się sam na sam z Jolantą, powiedział z wyrzutem:

- Po co ta ironia? Lepiej im się nie narażać.

- Narażać? Gotowam pomyśleć, że masz coś rzeczywiście na sumieniu i boisz się. Co oni tu robili?

- Rewizję. Czy wiesz, że oni mnie podejrzewają? Powiedział mi to wyraźnie major Cepryński.

Jolanta momentalnie spoważniała.

- Jerzy! - zawahała się - może... może ty rzeczywiście coś wiesz?

Niekrasz otoczył ją ramieniem i przyciągnął do siebie.

- Daj spokój. Dojdzie do tego, że zwariujemy. Najpierw ja sobie uroiłem, że ty miałaś z tym coś wspólnego, teraz ty zaczynasz podejrzewać mnie...

- Ale to straszne! Jak oni sobie coś ubrdają, to nic dobrego z tego nie wyniknie. Czego szukali?

- Zabrali do ekspertyzy moje narzędzia chirurgiczne i stare ciuchy, w których jeździłem na ryby.

- O co im chodzi? Rozumiesz coś z tego? Bo ja nic.

- Jeśli chodzi o narzędzia, to tak. Marta została zabita skalpelem. Chcą zbadać, czy nie ma na którymś z nich śladów krwi.

- A skąd to zainteresowanie twoim rybackim ubraniem?

- Nie wiem. Doprawdy nie wiem. Ale jestem tym wszystkim bardzo zdenerwowany. Te przesłuchania, dziesiątki pytań, na które muszę odpowiadać, to takie miłe urozmaicenie spraw związanych z załatwianiem pogrzebu.

- Wszystko załatwiłeś?

- Na szczęście tak. Łącznie z nekrologiem, który już się ukazał w „Życiu”. - Niekrasz wziął gazetę do ręki. - Pogrzeb jutro o dwunastej.

- Jak już będzie po wszystkim, wrócisz do normy. A może weźmiemy urlop i wyjedziemy choćby na kilka dni?

Niekrasz przygarnął Jolantę i głaszcząc jej złote włosy, powiedział:

- Kochanie, nie będzie „po wszystkim”. Śledztwo trwa, a nie zapominaj, że - jak mi się zdaje - jestem pierwszym podejrzanym. Kiedy to się skończy, jak się skończy?

- Och, Jerzy, Jerzy! - Jolanta przytuliła się mocno. - Taka jestem niespokojna. Czego oni od ciebie chcą? A jeżeli cię okarżą?

- Nie wiem. Nic nie wiem. Ale będę się bronił do upadłego!

Cepryński, zmierzając nazajutrz do komendy, myślał o wczorajszej rozmowie z gospożą Niekraszów. Może więc Niekraszowa miała przy sobie jakąś szczególnie wartościową rzecz, dajmy na to klejnot lub artystyczną miniaturę? Takie rzeczy nie mają teraz ceny na zachodzie. Ktoś się na to połakomił. Ale dlaczego zabił? Dlatego, że Niekraszowa go znała. A zatem był to ktoś z jej środowiska, w każdym razie ktoś, z kim się stykała. „Muszę spotkać się jeszcze raz z Tarkowską - postanowił - może coś będzie wiedziała”.

W komendzie czekała go niespodzianka.

- Znalazłem! - meldował porucznik Kulik; widać było, że

wrócił mu dobry nastrój. - W ubiegłym roku

Niekrasz operował dwóch ciekawych typków, notowanych w naszych kartotekach.

- Dobrze, bardzo dobrze - Cepryński wtrącił swoje ulubione powiedzenie, które świadczyło o zadowoleniu.

- Sprawdziłem obu. Jeden nie wchodzi w rachubę, bo odbywa kolejną odsiadkę, ale drugi, Marian Zawadzki, czyli Maniek Sztajfa, buja na wolności. Wysłałem wywiadowcę, by go jak najprędzej doprowadził.

- Maniek Sztajfa? - zastanowił się przez moment Cepryński, który przedstawiciele przestępczego świata znał na pamięć. - Wiem. Kieszenie, damskie torebki, czasem skok na farmazona. Tak... Tylko że tacy, jak Sztajfa, nie idą na mokrą robotę. Coś mi tu nie pasuje. Skąd u takiego ten bezbłędny cios?

- Za swoich dobrych czasów pracował w rzeźni na Pradze.

- Hm... Tak czy owak przesłuchać go nie zawadzi, a na razie umówię się na randkę z panią doktor Tarkowską. Najwyraźniej stęskniłem się za tą piękną niewiastą.

- Obywatel major liczy, że dowie się jeszcze czegoś istotnego? - zapytał Kulik, nieco zdziwiony projektem ponownego spotkania z Tarkowską.

- Mam pewną koncepcję, ale za wcześnie jeszcze o tym mówić - odparł Cepryński podnosząc słuchawkę telefonu. - Niestety, wciąż jeszcze błądzimy po omacku...

Wykręcił numer szpitalnej centrali, popi-osił o połączenie z doktor Tarkowską.

- Dzień dobry pani. Mówi major Cepryński - przedstawił się.

- Upoważniła mnie pani do prośby o ponowne spotkanie, więc chętnie bym zajął pani jeszcze trochę czasu.

- Bardzo chętnie, majorze. Ale jeśli to nic pilnego, to może po południu, bo idę na pogrzeb biednej Marty. Czy jest coś nowego?

- Liczę, że wyniknie coś nowego w wyniku naszego spotkania. Więc dobrze, po południu. W tym samym miejscu?

- Tak chyba będzie najlepiej - zgodziła się Tarkowska. - O piętnastej?

- O piętnastej - potwierdził Cepryński. - Będę czekał.

Niebawem zameldował się wywiadowca wysłany na poszukiwanie Maniusia Sztajfy. Wyłowił go z bufetu dworca Warszawa Zachodnia, gdzie Maniś od świtu zaprawiał się piwkiem.

Maniś wparował do gabinetu niezbyt pewnym krokiem. Ukłonił się wytwornie, a gdy tylko otworzył usta, w gabinecie zapachniało niczym w gorzelni na pełnym rozruchu.

- Co jest, panie władzo? - spytał głosem skrzywdzonego dziecka. - Jem sobie śniadanko...

- Raczej piję śniadanko - poprawił Cepryński.

- Piwo z rana, jak śmietana - zauważył nie stropiony Maniś.

- Więc piję sobie piwko, a tu podchodzi zeks i wiąże niewinnego człowieka. Po kiego grzyba, jak pragnę zdrowia?

, - Panie Zawadzki, nic do pana nie mamy. Chcemy tylko porozmawiać. Może nam pan opowie coś ciekawego?

- Ciekawe rzeczy to opowiada w telewizji pan Słodowy.

- Panie Zawadzki, żartował to pan będzie u siebie. U nas rozmowa poważna - zniecierpliwił się Cepryński; - Czy zna pan doktora Niekrasza?

- Jakże bym nie znał ! - ucieszył się Maniś. - Własnoręcznie mnie operował, jak w szufladzie zaprawilem kotwiczkę.

- Więc znacie się. A powiedz pan, panie Zawadzki, czy często się spotykaliście?

- Ja z tym niby rzeźnikiem? - zdziwił się szczerze Maniś. - Po cholere miałbym się spotykać?

- A kiedy widział pan ostatni raz docenta Niekrasza?

- Jak to kiedy? Kiedy mnie tego...

- 'Co tego? Niech się pan wyraża jaśniej.

- No w szpitalu, jak mnie ciachnął.

- Wobec tego, panie Zawadzki, niech pan nam opowie, tylko tak z detalami, co pan porabiał w nocy z piątego na szósty listopada?

Maniś pomyślał chwilę, po czym oświadczył:

- A co miałem robić? Garowałem na kwadracie i tyle.

- Tak pan mówi, ale dobrze by było, gdyby mógł to ktoś potwierdzić.

- Matka tylko była w domu.

- Jeśli matka potwierdzi, to pi razy drzwi - Cepryński wpadł w ton Maniusia. - Naturalnie sprawdzimy, panie Zawadzki. Póki co jest pan wolny i zauważ pan, że nie mówię do widzenia.

Gdy Maniś Sztajfa z miną pełną godności opuścił dobrze sobie znane progi komendy, Kulik nie wytrzymał.

- Obywatelu majorze! Co to za alibi - matka?

- Dobrze znamy jego matkę. Kryształowej prawości kobieta, zamartwia się swoim jedynakiem, nie potrzeba lepszego alibi. Gdyby tylko tacy ludzie, jak matka Maniusia, żyli na świecie, poszlibyśmy wszyscy na zieloną trawkę. Tak mi coś wygląda, że wariant z kimś najętym przez Niekrasza też odpada - podsumował Cepryński i zerknął na zegarek. - Dochodzi dwunasta. Pojedziemy, poruczniku, na pogrzeb Marty Niekrasz. Rozejrzemy się po ludziach, może spotkamy kogo ciekawego?

Właśnie wychodzili, gdy z laboratorium dostarczono wyniki ekspertyzy narzędzi chirurgicznych Niekrasza i jego odzieży. Cepryński, siedząc już w samochodzie, rozerwał kopertę. Ekspertyza była negatywna. Narzędzia sterylnie czyste, natomiast na kufajce stwierdzono ślady krwi, ale ponad wszelką wątpliwość była to krew ryb, które namiętnie i widać z powodzeniem łowił docent.

- Znów impas! - skonstatował Cepryński.

Dobry humor i pogodny nastrój, które były wrodzonymi cechami Cepryńskiego, wyraźnie zaczęły go opuszczać. Czego się nie tknąć w tej cholernej sprawie, wszystko się wali i rwie. Dziś rano na odprawie, gdy szef zapytał, jak przebiega dochodzenie w sprawie morderstwa Marty Niekrasz, nie mógł powiedzieć nic konkretnego, a to mu się nieczęsto zdarzało. Szef tylko pokiwał głową.

- No, no! - powiedział nie patrząc nawet na Cepryńskiego. - Dostaliście do pomocy oficera z Poznania i tak się grzebiecie z tą sprawą. Myślałem, że już kończycie, a tu wszystko w lesie. Proszę mi codziennie meldować o postępach dochodzenia.

- Tak jest!... - bąknął Cepryński, czując ogarniającą go wściekłość na Niekrasza, na Kubis, na cały świat.

W czasie całej drogi nie odezwał się ani słowem. Kulik, wyczuwając nie najlepszy nastrój Cepryńskiego, też milczał.

Nabożeństwo żałobne, jak obwieszczał zamieszczony w prasie nekrolog, odbywało się w kościele Św. Karola Boromeusza na Powązkach. Gdy weszli i stanęli nie opodal wejścia, ksiądz w czarnym ornacie rozpoczął już mszę. W krzesłach tuż za trumną siedział Niekrasz, przy nim starsza pani bardzo do niego podobna, pewnie siostra. Obok niej jakiś siwy pan i młoda dziewczyna, najprawdopodobniej mąż i córka. Niekrasz siedział wyprostowany, twarz miał bladą, skupioną.

W ławkach dojrzał Cepryński dyrektora szpitala, Tarkowskich, gosposię Niekrasza. Tarkowska trzymała przy oczach chusteczkę, za to gosposia zachowywała się, jak na ciekawym przedstawieniu. Rozglądała się wokoło i widać było, że smutną uroczystość traktuje jak dobrą i do tego bezpłatną rozrywkę. W ostatnich ławkach, prawdopodobnie wśród personelu szpitala, siedziała Jolanta Kubis. Na jej ładnej twarzy malowało się zmęczenie i jakby napięcie. Wzrok miała wbity w Niekrasza.

Gdy msza się skończyła i wynoszono trumnę z kościoła, Cepryński ustawił się przy wyjściu... Ludzi przyszło sporo. Cepryński przyglądał się im uważnie, lecz nie dostrzegł nikogo ze swych znajomych. Kondukt ruszył w stronę cmentarnej bramy. Siąpił dokuczliwy deszczyk i Cepryński pomyślał, że dalej nie ma już sensu iść. Wrócili z Kulikiem do oczekującego samochodu i ruszyli w stronę komendy.

- Mam jeszcze spotkanie z Tarkowską - powiedział Cepryński. - Chyba już dziś nie wrócę do komendy. Zobaczymy się jutro rano i podsumujemy sobie dotychczasowe śledztwo.

W kawiarni zajął ten sam stolik, co poprzednio. Nie czekał długo. Tarkowska była punktualna co do minuty. Zamówiła kawę, Cepryński, jak zwykle, podwójną herbatę.

- Chciałbym się jeszcze dowiedzieć - zaczął - czy pani Niekrasz dużo podróżowała?

- O, tak! - potwierdziła Tarkowska. - Nie było roku, by przynajmniej raz nie wyjechała za granicę.

- Jeździła z mężem czy sama?

- Przeważnie sama. O ile ona była zwariowana na tle podróży, o tyle Jerzy nie należy do globtroterów.

- Pani powiedziała, że jeździła przeważnie sama. Z tego wniossek, że wyjeżdżała jednak i z mężem.

- Doprawdy, nie przypominam sobie. Jeśli tak, to bardzo, bardzo dawno.

- Więc jeśli nie jechała sama, to z kim?

- Na przykład ostatnio, do Turcji i Wiednia, wyjechała w towarzystwie pana Baryły.

- Czy to były wyjazdy czysto turystyczne?

- Oczywiście.

- A czy przypadkiem pani Niekrasz nie wykorzystywała podróży również w innych celach?

- Ach, o to panu chodzi! - Tarkowska roześmiała się. - Wie pan, Marta miała bzika na tle antyków. Czy był pan u nich w willi? Cały dół jest umeblowany antykami. Rzeczywiście, nie było chyba wyjazdu, by Marta nie przywozła czegoś z tych rzeczy.

- Czy tylko przywoziła, czy może również wywoziła?

- Tego panu nie mogę powiedzieć. Nigdy o tym nie wspominała. Zawsze chwaliła się zagranicznymi zdobyczami, ale nie przypominam sobie, by kiedykolwiek mówiła, że coś wywozi.

- A może pani w'ie, co z wartościowych rzeczy zabrała pani Niekrasz w ostatnią podróż?

- Żałuję, panie majorze, ale doprawdy nie wiem, czy miała coś szczególnie cennego, poza normalnie noszoną biżuterią.

Cepryński zmarkotniał. Tarkowska nie wiedziała nic, co mogłoby go zainteresować. Zapytał więc jeszcze, raczej z nawyku, niż przekonania:

- Wspomniała pani o panu Baryle. Któż to taki?

- Ostatni flirt Marty.

Opowiedziała, jak to było. Pojechały razem do Zakopanego. O ile Tarkowska większą część czasu spędzała przy stoliku w kawiarni lub na brydżu, o tyle Marta, zapalona narciarka, zaraz po śniadaniu, z deskami na ramieniu jechała kolejką na

Kasprowy. Pewnego dnia przedstawiła jej młodego trzydziestoletniego mężczyznę, który przez cały dalszy pobyt nie odstępował Marty.

Wodził za nią oczyma, starał się odgadywać najdrobniejsze życzenia, na dansingu, po odwaleniu obowiązkowego tańca z Tarkowską, tańczył tylko z Martą. Tarkowska patrzyła z niechęcią na ten flirt, który coraz bardziej wciągał Martę. Janusz Baryła, bo to on był tym młodym człowiekiem, przesadnie elegancki, bardzo uprzejmy, o przezroczystych nijakich oczach i sztucznym uśmiechu, jakby przyklejonym do wąskich warg, nie podobał się Tarkowskiej. Nie znosiła tego gogusia o manierach fryzjera. Próbowwała zniechęcić do niego Martę, ale bezskutecznie. Marta twierdziła, że Tarkowska się bezpodstawnie uprzedziła, a nawet w podtekście posądzała ją o zwykłą zazdrość. I brnęła dalej. Po powrocie z Zakopanego nie zerwała kontaktu. Tarkowska wie, że spotykali się nadal i podejrzewa, że Marta finansowała swoją sympatię. Już w Zakopanem zauważyła, że Baryła nie śmierdział groszem i rachunki w lokalach dyskretnie regulowała Marta, co nie wywoływało najmniejszego sprzeciwu jej amanta.

- Więc z tym panem udała się pani Niekrasz do Turcji i Wiednia - powiedział Cepryński.

- Właśnie. Z panem Baryłą - potwierdziła Tarkowska.

- Przypuszczam, że wyjazd Baryły odbył się również na koszt Marty.

- A małżonek?

- Jerzy? Nic nie wiedział. Nie interesował się po prostu. Za bardzo był pochłonięty swoim romansem.

- A co obecnie porabia pan Baryła?

- Nie mam pojęcia. Przed dwoma, trzema miesiącami Marta zerwała z nim i to w dość nieprzewidzianych okolicznościach. Zwierzyła mi się, bo w gruncie rzeczy przeżyła to rozstanie. Marta była niesłychanie zaborcza i ambitna, a Baryła zranił jej ambicję.

Była piękna, słoneczna i ciepła wrześnieowa niedziela.

Niekraszowie i Tarkowscy postanowili wybrać się nad Zalew Zegrzyński i zjeść obiad w restauracji w Nieporęcie. Po dość

długim oczekiwaniu zajęli zwolniony właśnie sześciuosobowy stolik. Za ledwie usiedli, gdy do stolika podpłynęła dama około pięćdziesiątki z tapirowaną fioletowo-srebrną fryzurą, w śmiało wydekoltowanej sukience, odsłaniającej zwiędłe ramiona. Zapytała, czy pozwolą, by zajęła dwa wolne miejsca, położyła na jednym krzeselku torebkę, na drugim płaszcz i oświadczyła z wyraźną dumą, że zjawi się zaraz z narzeczonym. Gdy odeszła, nie obyło się naturalnie bez dowcipów na temat „każda potwora znajdzie swego amatora”. Jakież było zdumienie Tarkowskiej, gdy amatorem tym okazał się nie podejrzewający niebezpieczeństwa pan Baryła. Podeszli w lansadach, trzymając się za rączki, i nagle uśmiech przyklejony do ust pana Baryły rozpląnął się ustępując miejsca ni to bezgranicznemu zdumieniu, ni to przerażeniu. Marta ani drgnęła. Zaimponowała Tarkowskiej swym opanowaniem. Zagłębiła się w karcie dań i konstatując, że wybór jest bardzo nieciekawym, zaproponowała zmianę lokalu. Zjedli obiad w „Bristolu”.

- Wiem - kończyła Tarkowska - że pan Baryła próbował jeszcze nawiązać kontakt z Martą, czatował na nią w okolicach willi, w kawiarniach, w których bywała, ale Marta była nieprzejednana.

- Ciekawe, bardzo ciekawe - skonstatował Cepryński.

- A co robi pan Baryła, jaki jest jego zawód, gdzie pracuje?

- Przedstawił się jako kompozytor. Komponuje piosenki, podał nawet jakiś pseudonim, ale nie pamiętam.

- Słowem, artysta.

- Dla mnie raczej niebieski ptak - uściśliła Tarkowska.

- Nie zna pani adresu pana Baryły?

- Nie. Mówił wówczas w Zakopanem, że mieszka z matką staruszką.

Gdy Cepryński regulował rachunek, Tarkowska przypomniała telefoniczną rozmowę.

- Liczył pan, że coś nowego wyniknie dla sprawy z naszego spotkania. Czy może pan uchylić rąbka tajemnicy?

- Niestety, na razie nie mam nic do uchylenia. Trochę się przeliczyłem, choć niezupełnie. Mogę tylko zapewnić, że czasu

spędzonego z tak uroczą kobietą nigdy nie będę uważał za stracony - zakończył z galanterią.

A więc wyłonił się pan Janusz Baryła. Nie można było zbagatelizować tego śladu. Zawarcie znajomości z panem Baryłą Cepryński zlecił Kulikowi.

Biuro ewidencji ludności bez trudu ustaliło, że Janusz Baryła jest zameldowany w mieszkaniu matki przy ulicy Ząbkowskiej. Natomiast kartoteka komendy ujawniła, że pan Baryła, wykształcenie podstawowe, nigdzie nie pracujący, jest dwukrotnie karany oszustem matrymonialnym.

Kulik, nie zwlekając, złożył wizytę pod wskazanym adresem. Była to stara czynszowa kamienica, z podwórkiem - studnią, pamiętająca czasy sprzed pierwszej wojny światowej. Wszedł na trzecie piętro po stromych drewnianych schodach i długo pukał w drzwi, nim otworzyła mu szczupła kobiecinka ubrana w szary fartuch z zakasanyimi rękawami. Na głowie miała przewiązany ręcznik. Przez uchylone drzwi, z których buchnęła gorąca para, dojrzał ustawiony na kuchennej płycie wielki kocioł z gotującą się bielizną. Prawdopodobnie matka wytwornego pana Baryły zarabiała na życie praniem.

- Pan z bielizną? - zapytała kobieta.

- Nie - odparł Kulik i pokazał legitymację.

- O Boże - jęknęła kobieta - znowu ten łobuz coś przeskrobał?

- Proszę się nie denerwować - uspokoił ją Kulik. - Pana Baryły nie ma?

Nie ma, kochany panie, nie ma.

- A kiedy i gdzie można go zastać?

- A bo ja wiem? Już od dwóch tygodni się nie pokazał. W ogóle nie myśli o matce - uzaliła się.

- I nie wie pani, gdzie przebywa?

- A czy to on mnie powie? Nie wiem, kochany panie, nie wiem.

Kulik jakoś nie bardzo dowierzał swej informatorce.

Postanowił więc uciec się do sposobu, który nieraz praktykował z dobrym na ogół wynikiem.

- Skoro pani nic nie wie, to pojedzie pani ze mną do komendy. Na przesłuchanie. Może sobie pani coś przypomni.

- O Boże, co ja przez niego mam! Tyle prania, a tu na komendę pan mnie zabiera!...

- Trudno. Proszę się ogarnąć, jedziemy.

Matka pana Baryły ze zrezygnowaną miną podeszła do starego kredensu.

- On tu zostawił jakiś telefon. Powiedział, że gdyby coś, to tam telefonować - podała Kulikowi karteczkę z zanotowanym numerem.

Jak szybko ustalił Kulik, telefon należał do pani Stanisławy Nowak, kierowniczkę sklepu mięsnego przy ulicy Różanej. Gdy złożył jej wizytę w sklepie i pokazał legitymację, pani Stanisława aż przysiadła z wrażenia.

- Jezusie Nazareński, jestem niewinna! - wykrzyknęła na wstępie, zamasyście uderzając się w obfity biust.

- Może przejdziemy na zaplecze? - zaproponował Kulik.

- Przysięgam, że nic nie wiem! - zapewniała go kierowniczka, wprowadzając do małego pomieszczenia biurowego.

- Ale Janusza Baryłę pani zna.

Kierowniczka spojrzała zdumiona.

- Januszką? Boże, co mu się stało?

- Prawdopodobnie nic. Proszę się uspokoić i odpowiedzieć na kilka pytań. Czy pan Baryła mieszka u pani?

- Tak, ale...

- Od jak dawna?

- Już ze dwa tygodnie. Wprowadził się jeszcze w październiku. Mamy zamiar się pobrać.

- Narzeczony, tak?

- Tak, ale doprawdy...

- Nim powiem pani coś ciekawego, proszę jeszcze powiedzieć, czy cały ten czas mieszka u pani?

- Cały czas.

- Nie wyjeżdżał w tym okresie?

- Nie.

- Proszę się zastanowić i odpowiedzieć na jedno jeszcze pytanie: jak pan Baryła spędził noc z piątego na szóstego listopada?

Kierowniczką pomyślała intensywnie i po chwili oświadczyła:

- To były imieniny mojej koleżanki. Byliśmy u niej na przyjęciu. Balowaliśmy prawie do rana. Ale o co chodzi? Przecież Januszek...

- Pani Januszek to dwukrotnie już karany oszust matrymonialny.

Kierowniczką postawiła oczy w ślup i spadłaby z krzesła, gdyby jej nie podtrzymał.

- Januszek? Oszust? A ja mu dałam wczoraj wszystkie moje oszczędności na zamianę mieszkania!

- Niech pani szybko odbierze. A gdyby nie oddał, proszę zgłosić się do milicji - pożegnał Kulik nieszczęsną narzeczoną.

A więc Baryła miał alibi. Zresztą było więcej niż wątpliwe, żeby Marta Niekrasz zwierzyła mu się ze swego nabytku i związanych z nim planów, a jeszcze bardziej było nieprawdopodobne, by ten mały nabieracz zdobył się na rabunek połączony z morderstwem. Ten trop prowadził także donikąd.

Cepryński był wściekły, co mu się rzadko zdarzało. Nawet własna żona i córka omijały go z daleka. Był przykry, opryskliwy, zaczepny. Gdzie się podziały jego przysłowiowa flegma i dobroduszość?

Spał fatalnie. Całą noc przewracał się z boku na bok, palił papierosy, myślał, myślał nad tą sprawą, w której wszystko wymykało się z rąk, w której nie udało się uchwycić najcieńszej niteczki, w której nie dysponował ani śladem materialnego dowodu; myślał i nic nie mógł wymyślić.

Do komendy przyszedł w stanie absolutnego rozbitcia fizycznego i psychicznego. Kulik już czekał w sekretariacie.

- Wchodźcie, wchodźcie - zaprosił go Cepryński. - Panno

Krysiu, nie ma mnie dla nikogo!

Nie zamówił, jak zwykle, herbaty „mocnej i gorącej”, co było niewątpliwie spowodowane nastrojem, w jakim się znajdował.

- I co powiecie, poruczniku? Ładną sprawę dostaliśmy do rozwiązania. Kompletny klops! A szef każe codziennie sobie meldować o postępach dochodzenia, jak to pięknie nazwał. Skąd ja mu wezmę te cholerne postępy?

- Obywatelu majorze, myślę, że nie jest tak źle. Moim zdaniem mordercą jest Niekrasz. Mówi mi to intuicja.

- Intuicję możecie sobie schować do kieszeni! - rozzłościł się Cepryński. - Dowody, dowody się liczą!

- Dowodów rzeczywiście nie mamy i chyba nie będziemy mieli. Ale, obywatelu majorze, wszystkie poszlaki przemawiają przeciwko Niekraszowi. A jest tych poszlak do licha i trochę.

- Tak, poszlaki obciążają przede wszystkim Niekrasza. Ale nie zapominajmy, że nikt nie rozpoznał go na podstawie fotografii...

- Przecież obywatel major założył, że Niekrasz zmienił specjalnie aparycję. Znaleźliśmy przecież kufajkę, spodnie...

- Co z tego? Ekspertyza nie stwierdziła na nich śladów ludzkiej krwi.

- To niczego nie dowodzi. Byłem na miejscu zbrodni. Marta Niekrasz prawie nie krwawiła.

- Więc jaki jest wasz wniosek?

- Jeśli obywatel major pozwoli, opracuję materiał dla prokuratury. Nie pozostaje nam nic innego, jak przekonać prokuratora do procesu poszlakowego.

Cepryński zamknął oczy i pogrążył się w milczeniu. A gdy otworzył je po dłuższej chwili, zza szkieł błysnął jego zwykły dobrotliwy uśmiech.

- Otóż, poruczniku - powiedział - nie pozwolę. Nie zwykłem wybierać linii najmniejszego oporu. A już prokuratorowi Ostrowskiemu nie śmiałybym nawet proponować takiego zamknięcia sprawy.

- Jak obywatel major uważa - bąknął Kulik bez przekonania.

- Zacniemy wszystko od początku, mój drogi, bo jeśli już chodzi o intuicję, to muszę wam powiedzieć, że wcale nie

jestem do końca przekonany o winie Niekrasza. Wezwiemy jeszcze raz pana docenta, tym razem w charakterze podejrzanego. Przyciśniemy go trochę. - Cepryński ciągnął swój monolog, jakby zapomniał o obecności Kulika. - Niekrasz nie jest szczery. Ukrywa coś, nie chce o czymś mówić, a ja muszę znaleźć do niego drogę. Może to, co ukrywa, jest bagatelny drobniakiem, a może szczegółem o kapitalnym znaczeniu. Muszę go złamać, zmusić do powiedzenia wszystkiego!

- Sprzeczką z żoną - wtrącił Kulik.

- Tak. Sprzeczką z żoną. Odświeżę mu pamięć. Poruczniku, ściągnijcie tu jak najszybciej Niekrasza.

Niekrasz, który po ostatnich przeżyciach wziął kilka dni urlopu, był w domu. Nie minęło pół godziny, gdy zjawił się w gabinecie Cepryńskiego i zajął miejsce przed biurkiem.

- Wezwałem pana w charakterze podejrzanego - sucho oświadczył Cepryński. - Uprzedzam, że podejrzanemu wolno odmówić odpowiedzi na pytania, ale z drugiej strony pragnę zaznaczyć, że taka odmowa tylko utwierdzi nas w przekonaniu o winie podejrzanego. Czy podejrzany nadal twierdzi, że nie pozbawił życia Marty Niekrasz?

- Jestem niewinny, panie majorze.

- A ja twierdzę, że jest pan winny! Wyjechał pan tym samym pociągiem, co Marta Niekrasz. Zaplanował pan tak zwaną zbrodnię doskonałą. Bo dobrze pan wiedział, że jeśli uda mu się przed stacją Konin dokonać zamierzonego czynu, to na tejże stacji złapie pociąg idący do Warszawy, o piątej z minutami wyląduje w stolicy, jeszcze zdąży się w domu wykapać i normalnie o ósmej zjawi się w szpitalu.

Niekrasz pobladł.

- Panie majorze, nawet przez myśl mi to nie przeszło.

- Jest pan chirurgiem. Zadał pan bezbłędnie cios skalpelem chirurgicznym i tylko nieprawidłowość w ułożeniu serca denatki sprawiła, że uderzenie nie spowodowało natychmiastowej śmierci.

- Nie, nie! - wykrzyknął Niekrasz. - Jestem niewinny, nie mam z tym nic wspólnego...

- Więc kto? - wybuchnął Cepryński. - Jeśli nie pan, to Jolanta Kubis. Tylko wy mieliście interes w pozbyciu się Marty Niekrasz!

- To straszne, co pan mówi - wyszeptał Niekrasz. - Ani Jola, ani ja nie popełniliśmy tego okropnego czynu. Jak pana o tym przekonać?

- Dlaczego pan nie jest ze mną szczery? - zapytał Cepryński.

- Dlaczego pan coś ukrywa? Pogarsza pan tylko swoją sytuację. Proszę sobie przypomnieć, o co posprzeczał się pan z żoną przed jej wyjazdem?

Na twarzy Niekrasza odmalowało się zmieszanie.

- Nie mówiłem o przedmiocie sprzeczki, bo nie chciałem wydobywać pewnych spraw mogących skompromitować żonę.

- Więc słucham pana.

- Marta przed wyjazdem nabyła okazjnie piękną antyczną broszkę w kształcie jaszczurki - brylanty osadzone w platynie. Ostatnimi czasy zrobiła się strasznie łaśna na grosz, a przy tym zawsze miała w sobie żyłkę hazardu. Spodziewała się uzyskać za broszkę w Holandii lub RFN, gdzie zawijał statek, około dziesięciu tysięcy dolarów. Na zachodzie podobno lecą na takie rzeczy...

- I miała tę broszkę przy sobie?

- O nią właśnie była cała sprzeczka. Prosiłem Martę, by nie zabierała broszki, byłem przeciwny tego rodzaju interesom, ale ona była uparta. Zaczęła wykrzykiwać, że jestem tchórz, fajtłapa, że bez niej klepałbym biedę na swojej docenturze, słowem zrobiła mi awanturę i wyszła bez pożegnania.

- Od kogo pani Niekrasz nabyła tę broszkę?

- Wiem tylko, że transakcję naraił pewien młody człowiek, który znał się na antykach i nieraz pośredniczył w zakupach dokonywanych przez Martę. Jej hobby to były antyki. Meble, bibeloty, obrazy. Mogła sobie na to pozwolić...

- Jak się nazywa pośrednik?

- Nie znam jego nazwiska. Tylko raz widziałem go u nas w domu i żona zwracała się do niego per „panie Zenonie”.

- Poznałby go pan? Potrafi go pan opisać?

- Wysoki, szczupły...

- Włosy? - przerwał Cepryński.
- Ciemny szatyn, krótko ostrzyżony...
- Kolor oczu?
- Nie wiem, nie zwróciłem uwagi...
- Może jakieś znaki szczególne, coś charakterystycznego w ruchach, wyglądzie...

- Nie zauważyłem niczego, zresztą to było przelotne spotkanie, nie pamiętam nawet, czy się z nim przywitałem.

- Dziękuję i za to. A, jeszcze jedno: gdzie żona wyjeżdżając schowała tę broszkę?

- Przypięła ją pod klapę zakietu. Powiedziała, że tak będzie najpewniej. Tak jej poradził pan Zenon, który według niej miał doświadczenie w tych sprawach.

- I pan to wszystko zataił! Czy pan wie, jak pan wszystko utrudnił i skomplikował?

- Nie sądziłem, że to może mieć jakieś znaczenie.

- Zasadnicze, panie docencie. Swoją drogą chętnie przetrzymałbym pana w areszcie za karę. Niestety, przekracza to moje kompetencje.

Gdy Niekrasz w dużo lepszym nastroju opuścił gabinet, Cepryński zwrócił się do Kulika:

- No i jak tam wasza intuicja? Co teraz wam mówi?

- Ze pan docent narobił nam bigosu. Gdyby postanowił nadal ratować honor żony, wpakowałby się w niezłą kabałę.

- Więc jednak przywracamy wersję rabunku. Postaramy się odnaleźć tajemniczego pana Zenona. Zdaje mi się - powiedział wykręcając numer telefonu - że będę musiał jeszcze raz spotkać się z panią doktor Tarkowską.

Spotkali się w tej samej kawiarence.

- Jak pani widzi, żyć bez pani nie mogę - zażartował Cepryński. - Wyszły na jaw pewne nowe okoliczności sprawy i dlatego byłem zmuszony znowu panią fatygować.

- Ależ bardzo chętnie, panie majorze. Jeśli tylko będę mogła w czymś pomóc...

- Właśnie. Czy pani Niekraszowa nie wspominała pani o kimś imieniem Zenon?

Chwileczkę, niech sobie przypomnę. Zenon... Zenon... Ależ

tak! Pomagał jej w wielu transakcjach, nie mogła się go nachwalić, jaki znawca antyków, jaki uczynny, miły. To był jakiś historyk sztuki, czy coś takiego... Nie jestem pewna, ale miał chyba coś wspólnego z „Desą”.

- Pracował tam?

- Może i pracował, ale nie mogę tego stwierdzić na pewno.

- Znała go pani?

- Tak. Widziałam go dwa lub trzy razy. Marta mi go przedstawiła.

- Mogłaby pani podać jego rysopis?

- Przystojny młody człowiek.

- To trochę za mało.

- Wysoki, szczupły, duże oczy...

- Jakiego koloru?

- Piwne.

- A włosy?

- Szatyn.

- Co jeszcze?

- To chyba wszystko, co mogę o nim powiedzieć.

Rysopis pokrywał się z rysopisem podanym przez Niekrasza.

- A proszę mi powiedzieć - kontynuował Cepryński - czy pani przyjaciółka przed wyjazdem nie chwaliła się jakimś udanym zakupem?

- Oczywiście, ale to było chyba przed miesiącem, albo i dawniej. Kupiła okazjnie piękną broszkę. Pokazała mi ją nawet. Jaszczurka z platyny wysadzana brylantami.

- Od kogo ją kupiła?

- Od jakiejś starszej pani. Dała jej dwieście dwadzieścia tysięcy. Właśnie pan Zenon pośredniczył w zakupie.

- Dziękuję pani. To byłoby wszystko, co chciałem wiedzieć,

- Czy tym razem jest coś nowego? - zapytała Tarkowska.

- Raczej tak. Dochodzimy do przekonania, że w grę wchodzi rabunek.

- Pan Zenon?

- W każdym razie ktoś, kto wiedział o istnieniu broszki i o tym, że nowa właścicielka zabiera ją ze sobą w podróż.

Cepryński wracał do komendy w dobrym nastroju. Zły humor i rozdrażnienie zniknęły bez śladu. Śledztwo wkroczyło na nowy i chyba właściwy tor.

- No, poruczniku, mam dla was nowe bojowe zadanie!

- zadysponował. - Odszukacie tajemniczego pana Zenona. Macie rysopis podany przez docenta Niekrasza i doktor Tarkowską. To rzekomo historyk sztuki, być może pracownik „Desy”. Musimy znaleźć tego pana i pogwarzyć z nim trochę.

Kulik nie zwlekał. W centrali „Desy” szybko ustalono, że w przedsiębiorstwie jest zatrudnionych dwóch Zenonów. Jeden był kierownikiem sklepu na MDM i szykował się właśnie do przejścia na emeryturę. Za to drugi Zenon, o nazwisku Sójka, historyk sztuki z wykształcenia, współpracował stale jako rzeczoznawca z „Desą” na Rynku Starego Miasta. Rysopis też się zgadzał: szczupły, wysoki, szatyn.

W restauracji „Retman” na Powiślu zaczynało się już przerzedzać. Orkiestra zakończyła swoją oficjalną działalność i grała już tylko tak zwane tańce góralskie, czyli po „góralu” za jeden numer. Widocznie znalazł się jakiś kolejny jelen, bo kierownik zespołu zapowiedział przez mikrofon:

- Dla uroczej pani Ziny- „Balanga”!

I popłynęły tony modnego przeboju, ciasny parkiet znowu się zaludnił. : ' "

W kącie, przy dwuosobowym stoliku, siedziało dwóch mężczyzn. Na stoliku stała pusta półlitrowka popularnego „żytką”, w drugiej prześwitywało już dno. Gdyby ktoś obserwował obu biesiadników, zauważyłby niechybnie, że jeden z nich jest trzeźwy i markuje picie, za to jego kompan, któremu ciągle napełniał kieliszek, jest już porządnie wstawiony. Mówił o tym jego zmierzwiony włos, mętne spojrzenie i agresywne zachowanie.

- No, bęc go w migdał, żeby krzyk dał! Za pomyślność!

Pierwszy ujął pusty kieliszek i przesłaniając go dyskretnie dłonią, uniósł do ust. Drugi wypił, zakąsił resztką jakiejś

galaretki i wybełkotał:

- Może być za pomyślność, czemu nie? Ale w konia mnie bracie nie zrobisz. Nie z takimi cwaniakami miałem do czynienia.

- Coś ty się uparł, Kaziu! Staremu przyjacielowi nie dowierzasz? Przecież dostałeś zadatek, nie? Dziesięć pa- toli z rączki do rączki.

- Zadatek, powiadasz? Dostałem, nie powiem. Ale mnie reszta interesuje. Dawaj ciacki i już! - walnął pięścią w stół, aż zadźwięczała zastawa.

- Uspokój się, idioto! Do żłobka chcesz trafić, czy w ogóle do pudła? Przecież muszę zorganizować taką forszę.

Ale tamten był uparty.

- Wyjedziesz - mówił - i szukaj wiatru w polu. Nie po to nadstawiałem głowę. Ciacki teraz, a potem rób sobie, co chcesz.

- Kaziu, jak pragnę Boga! Skąd ja ci teraz wezmę forszę? Zastanów się, chłopie.

- Ja się już zastanawiałem przedtem! - znowu podniósł głos.

- Dawaj, co mi się należy, i adiu fruziu!

Trzeźwy znowu dołał, podniósł kieliszek udając, że pije.

- Na fart, Kaziu! Będzie jak chcesz. Jutro dostaniesz forszę!

- Na pewno?

- Słowo harcerskie!

- Nie wyjedziesz? Już ja cię znam! Zawsze byłeś krętacz i cwaniaczek!... To gdzie się spotkamy?

- Gdzie proponujesz, Kaziu?

- Tu - zaproponował Kazio. - Ta kelnerka fajna cizia. Warto by ją poderwać. Pani kierowniczo!... - zatrzymał przechodzącą właśnie kelnerkę. - Można słoweczko?

Królowo, co pani porabia wieczorową porą? Pani pozwoli, że się przedstawię.

Wstał z widocznym wysiłkiem, potrącając niebezpiecznie wywrotny stolik. Jego kompan, najwidoczniej wściekły, pociągnął go z powrotem na krzesło.

- Daj spokój pani! - ofuknął go, ale tamten już się brał do złożenia szarmanckiego pocałunku na dłoni kelnerki.

- Dziubkiewicz Kazimierz jestem - przedstawiał się.

Kelnerka wyrwała mu rękę i zaśmiała się.

- Nie wierzysz, królowo? Zaraz ci udowodnię, poczekaj - zaczął szperać po kieszeniach - psiakrewn, zostawiłem dowód w domu. Ale zaraz, mam inny dokument.

Wyciągnął złożony we czworo rachunek z izby wytrzeźwień.

- O! - wykrzyknął triumfalnie. - Spójrz, aniele. Jestem Dziubkiewicz Kazimierz, czy nie jestem?

Flirt, co prawda jednostronny, przerwał kompan Kazia. Ujął go stanowczo pod ramię i pohołował w stronę szatni. Z trudem pomógł zwiotczalemu przyjacielowi nałożyć płaszcz i po chwili obaj znaleźli się na ciemnej i pustej ulicy. Była pierwsza po północy. Kazio rwał się do czekającej na postoju przed knajpą wolnej taksówki, ale kompan pociągnął go w przeciwną stronę.

- Przejdziemy się troszkę - powiedział - to nam dobrze zrobi.

Ruszyli w stronę mostu Śląsko-Dąbrowskiego. Z wysiłkiem pokonali strome schody wiodące na most i pomaszerowali w stronę praskiego brzegu. Od Wisły unosił się mglisty opar, siąpił drobny deszczyk, wokół nie było żywej duszy. Miasto spało. Tylko od czasu do czasu przez most przejechał na pełnym gazie jakiś zapóźniony samochód. W połowie mostu przystanęli. Trzeźwy rozejrzał się dokoła. Nie dostrzegł nikogo. Oparł pijanego kumpla plecami o balustradę, momentalnie chwycił go za nogi i przerzucił w ciemną przepaść. Usłyszał tylko stłumione uderzenie ciała o taflę spokojnej wody. Szparkim krokiem oddalił się w stronę placu Zamkowego.

Gdy Zenon Sójka dotarł, jak co dzień, o dwunastej do salonu „Desy” na Rynku Starego Miasta, koleżanka podała mu pismo w niebieskiej urzędowej kopercie.

- Przyniósł je milicjant - zakomunikowała, patrząc z zaciekawieniem na Sójkę.

Sójka rozerwał kopertę. Było to wezwanie do komendy stołecznej na czternastą.

- Nie mówił, o co chodzi? - zapytał.

- Tylko kazał pokwitować. A pan się nie domyśla?

- Pojęcia nie mam - skwitował Sójka, koleżanka zauważyła jednak, że był wyraźnie zdenerwowany.

Pokręcił się chwilę po sklepie, wycenił kilka drobiazgów.

- To ja już pójdę - powiedział kierownicze. - Do jutra.

- Chyba, że to zaproszenie na dłużej - zażartowała kierowniczką, co Sójka przyjął kwaśnym uśmiechem.

Miał jeszcze sporo czasu. Wstąpił do barku kawowego, zamówił kawę i podwójny koniak. Wypił go jednym haustem. Mimo podłej pogody poszedł do komendy piechotę. Cepryński już czekał na niego. Za przygotowaną maszyną siedział Kulik.

- Wezwałem pana w charakterze świadka - zakomunikował Cepryński.

- W jakiej sprawie, panie majorze? - w głosie Sójki brzmiało zdziwienie. - Ja o niczym nie wiem.

- To się za chwilę okaże. Imię i nazwisko świadka?

- Zenon Sójka.

- Lat?

- Trzydzieści pięć.

- Zawód?

- Historyk sztuki.

- Zatrudniony?

- Współpracuję z „Desą” jako ekspert.

- Miejsce zamieszkania?

- Warszawa, Zaulek 2.

- Stan cywilny?

- Kawaler.

- Skorośmy się już poznali, może świadek powie, czy znał niejaką Martę Niekrasz?

- Ach, więc to w tej sprawie zostałem wezwany ! Ale ja naprawdę nic nie wiem.

- O czym świadek nic nie wie?

- O tym wypadku.

- Jakim wypadku?

Sójka nerwowo zatarł dłonie.

- Czy mogę zapalić? - zapytał.

- Proszę - zezwolił Cepryński, a odczekawszy chwilę, ponowił pytanie. - Więc o jakim to wypadku świadek nic nie wie?

- No, bo... - podjął Sójka z wyraźnym wahaniem - przeczytałem w prasie nekrolog, że pani Niekrasz zmarła śmiercią 'tragiczną, więc pomyślałem sobie, że pewnie jakiś wypadek, samochodowy, albo inny...

- Inny?

- Kiedy, panie majorze, ja nic nie wiem.

- Załóżmy. Od jak dawna świadek znał panią Niekrasz?

- Około dwóch lat.

- Jakie stosunki łączyły z nią świadka?

- Zwykła znajomość. Poznałem ją u nas w „Desie” na Starym Rynku. Pani Niekrasz była, można powiedzieć, naszą stałą klientką. Bardzo się interesowała antykami. Miała do mnie zaufanie, nieraz jej doradzałem zakup jakiegoś przedmiotu, nieraz odradzałem...

- Nieraz pośredniczyłem... - wtrącił Cepryński.

- Tak - potwierdził Sójka. - Raz albo dwa, ale to chyba nie jest karalne?

- Od pośredniczenia w kupnie i sprzedaży jest „Desa”, w której, notabene, pan pracuje. Ale nie to nas w tej chwili interesuje. Niech świadek powie, w jakich to zakiipach pośredniczył?

- No, więc raz ułatwiłem pani Niekrasz nabycie płótna Mehoffera bezpośrednio od właściciela...

- Co jeszcze?

- Potem... potem... - Sójka nateżył pamięć - jużwiem. Za moim pośrednictwem nabyła antyczny zegar.

- A ostatnio?

- Ostatnio? - Sójka myślał intensywnie..

- Może pomóc świadkowi? - zapytał Cepryński.

- Już wiem! Rzeczywiście, ostatnio pani Niekrasz nabyła drogocenną broszkę platynową.

- Kiedy?
- Nie ma jeszcze dwóch miesięcy.
- Od kogo ją nabyła?
- Od pani Czachorowskiej. To starsza pani, emerytka, potrzebowała gotówki.
- Adres tej pani?
- Akacyjowa 40.
- Jaką prowizję otrzymywał świadek od tych nielegalnych transakcji?
- Ależ, panie majorze!
- Mam rozumieć, że świadek tak bezinteresownie pośredniczył, z dobrego serca?
- Panie majorze, darzyłem panią Niekrasz dużą sympatią, zresztą z wzajemnością z jej strony. Nie przyszłoby mi do głowy brać od niej prowizję.
- Przyjmijmy, że świadek mówi prawdę. Wobec tego jeszcze jedno pytanie: co świadek robił w nocy z piątego na szósty listopada?
- Sójka odpowiedział bez chwili namysłu:
- Pomagałem w remanencie w naszym sklepie.
- Kto to może potwierdzić?
- Cały personel. I członkowie komisji z centrali. Pracowaliśmy do późnej nocy, a potem całą paczką wstąpiliśmy jeszcze do „Bazyliuszka”.
- Świadek jest wolny - zakończył Cepryński. - Proszę bez naszej wiedzy nie opuszczać Warszawy. Świadek może być jeszcze potrzebny.
- Ledwie Sójka opuścił gabinet, Cepryński lakonicznie zlecił Kulikowi:
- Sprawdzić!
- Kulikowi nie trzeba było wyjaśniać, że chodzi o sprawdzenie alibi. Szybko połączył się ze staromiejską „Desą”. Krótka rozmowa z kierowniczką sklepu w pełni potwierdziła oświadczenie Sójki.
- Remanent trwał trzy dni - wyjaśniła kierowniczka - właśnie piątego listopada, to była środa, skończyliśmy pracę. Gdy wyszliśmy, zamkowy zegar akurat wydzwaniał północ. A

pan Sójka pomagał, a jakże. Zgłosił się na ochotnika.

- Na ochotnika?'- podchwycił Kulik.

- Tak, bo to nie leżało w zakresie jego obowiązków, ale powiedział, że chętnie pomoże, to szybciej skończymy.

- Cały czas pomagał? - zapytał jeszcze Kulik.

- Nie. Tylko ostatniego dnia.

Kulik podziękował i odłożył słuchawkę.

- Sójka pomagał w remanencie-relacjonował Cepryńskiemu - na ochotnika. Ale tylko ostatniego dnia. Z piątego na szósty. Zupełnie jakby wiedział, że będzie potrzebował alibi.

- Jedno jest pewne, poruczniku. Sójka był tej nocy w Warszawie, przy Rynku Starego Miasta, a nie w pociągu do Szczecina. A my znowu drepczemy w miejscu. Do licha! Przecież nie odłożymy teczek z adnotacją „sprawa umorzona z braku przestępcy”! Popełniono morderstwo, to fakt. Musi więc być morderca, to drugi fakt. A my musimy wykryć, kto nim jest!

- Tak jest, obywatelu majorze! - bez większego przekonania potwierdził Kulik.

- Tak jest, tak jest! - przedrzeźnił go Cypryński. -Nie potakujcie, tylko uruchomcie szare komórki. Potakiwa- czy mi nie>potrzeba, tylko pomocników!

Kulik umilkł stropiony, a Cepryński kontynuował:

- Zainteresujemy się jednak bliżej panem Sójką. Zastanawialiśmy się, czy Niekrasz nie posłużył się kimś drugim do brudnej roboty. Zastanówmy się więc, czy Sójka nie nadał tej roboty? Czy nie miał przypadkiem współnika? W takim wypadku to zgłoszenie się na ochotnika do pomocy w remanencie, akurat w noc zbrodni, natychmiastowa odpowiedź na pytanie, co robił tej nocy

- wszystko by się zgadzało. Weźmiemy Sójkę pod obserwację, zobaczymy z kim się spotyka, z kim kontaktuje... A niezależnie, poruczniku, przeprowadźcie dyskretny wywiad, zorientujcie się, co to za facet, w jakim środowisku się obraca, czy nie jest przypadkiem notowany? Jeśli ma telefon, dobrze byłoby założyć podsłuch...

Prokurator Ostrowski, mimo że sprawa morderstwa

Niekraszowej też mu już mocno dojadła, nie był zachwycony pomysłem Cepryńskiego.

- Podsluch? - powtórzył za majorem. - Ja już abstrahuję od kosztów, ale w tej fazie śledztwa absolutnie nie widzę takiej potrzeby. Przeprowadźcie, majorze, normalny wywiad środowiskowy, weźcie faceta pod obserwację. Jeśli wykryjecie coś przekonującego o bezpośrednim udziale Sójki w sprawie Niekraszowej, wówczas pogadamy.

Ale Cepryński nie zamierzał łatwo ustąpić.

- Panie prokuratorze - podjął - to cholerna sprawa!

- Cholerna - zgodził się prokurator.

- Jeszcze chyba nie miałem na głowie czegoś podobnego. Wszystko wymyka mi się z rąk. Poszlaki, poszlaki, poszlaki. Już na sam dźwięk tego słowa dostają dreszczy. A gdy pan docent puścił wreszcie farbę i uchwyciliśmy się pewnego konkretnego w postaci broszki i pośrednika w kupnie oraz doradcy Marty Niekrasz w osobie pana Sójki, gdy jego murowane alibi z daleka podejrzanie śmierdzi, gdy chcemy go prześwietlić do końca, uchwycić, być może, jakieś kontakty, pan daje kontrę. Czy mam paść na kolana?

- Nic to panu nie pomoże - spokojnie stwierdził Ostrowski.

- Jedziemy na tym samym koniu. Tak samo panu, jak i mnie zależy na wykryciu sprawcy. Sójka mi się nie podoba. Mógłbym przysiąc, że jest zamieszany w sprawę.

- Intuicja, intuicja!... - przerwał Ostrowski.

- Tak. Intuicja. Ale intuicja podbudowana doświadczeniem, dziesiątkami poważnych dochodzeń, setkami przesłuchań. Panie prokuratorze! Ze względu na trudność i zawłość sprawy, niech pan wyrazi zgodę. Nareszcie uchwyciliśmy coś konkretnego. To jest argument.

Ostrowski wstał, podrapał się w łysą głowę i zмирzając w stronę biurka powiedział:

- Niech pana wszyscy diabli! Dam panu tę decyzję, ale jak mi szef zmyje głowę, pan mnie będzie miał na sumieniu.

Cepryński znów chodził naburmuszony, gniewny. Szef czekał na meldunki o postępach w śledztwie, a postępów jak nie było, tak nie było. Upływały dni, tymczasem obserwacja Zenona Sójki nic nie dawała. Sójka nie kontaktował się prawie z nikim, w każdym razie z nikim podejrzanym. Przesiadywał przeważnie w domu. Wychodził koło południa, szedł do „Desy”, potem na obiad do „Samsona” na Freta i wracał do siebie. I tak w kółko. Podśłuch też nie przyniósł żadnych rewelacji. Telefonów odbierał Sójka niewiele. Przeważnie były to rozmowy w sprawach zawodowych, czasem zadzwonił ktoś znajomy, proponował spotkanie, brydża, ale Sójka wykręcał się od tych propozycji.

Kulik węszył, gdzie się dało. W centrali „Desy”, na uniwersytecie, gdzie Sójka ukończył historię sztuki, w kartotekach milicji... Bez rezultatu.

- Nic ciekawego, obywatelu majorze - meldował - nie notowany, podejrzanych kontaktów nie stwierdziłem. Jedno tylko. Z jego ankiety wynika, że studiował również na Akademii Sztuk Pięknych, ale zrezygnował i przeniósł się na uniwersytet. Będę musiał poszperać jeszcze w ASP.

- Hm... - zastanowił się Cepryński - albo się przyczaił, albo wplątał się w to wszystko przez zwykły przypadek. Jeszcze go troszkę poobserwujemy. A wy zainteresujcie się jednak Akademią. Będziemy mieli chociaż czyste sumienie.

Nazajutrz Kulik przyszedł również z niczym.

- Cały dzień przesiedziałem wczoraj w Akademii. Sójka studiował dwa lata. Już dawno, nikt go nie pamięta. Przewertowałem papiery studentów jego roku i też nic specjalnego nie znalazłem.

Cepryńskiemu opadały już ręce. Podobnej sprawy, zdawałoby się prostej, a przecież bez żadnego konkretnego punktu zaczepienia, nie przypominał sobie w całej długiej karierze. Raptem, gdy coraz mniej skutecznie walczył z ogarniającą go rezygnacją, śledztwo ruszyło z kopyta. Pomógł przypadek. I podobnie, jak po siedmiu latach chudych następuje siedem lat tłustych, tak i tu, po okresie błędzenia po omacku, bezskutecznego szukania dowodów, dowody i

fakty zaczęły się sypać jak z rękawa i pięknie z sobą wiązać.

Następnego dnia, na odprawie u szefa, kapitan Nowacki referował nową sprawę. Przedwczoraj wyłowiono z Wisły przy moście kolejowym zwłoki notowanego niebieskiego ptaka, Kazimierza Dziubkiewicza. Sekcja wykazała złamanie kręgów szyjnych, a ponadto 1,7 promille alkoholu we krwi. Śmierć nastąpiła między północą a godziną drugą w nocy z czwartku na piątek.

- Zapewne mamy tu do czynienia z porachunkami świata przestępczego - zakończył relację kapitan Nowacki.

Kulik ledwo doszedł do końca odprawy. Gdy tylko znaleźli się na korytarzu, podszedł do Cepryńskiego.

- Obywatelu majorze, zdaje się, że mamy nowy ślad!

- Coście znowu wymyślili?

I Kulik opowiedział Cepryńskiemu, że gdy wertował papiery studentów uczęszczających wspólnie z Sójką na ASP, natknął się na kopię dokumentu relegującego z uczelni studenta drugiego roku, Kazimierza Dziubkiewicza. Nie zwrócił na to uwagi, tymczasem...

- Kojarzycie obie sprawy? - zapytał Cepryński.

- Kto wie, obywatelu majorze. Trzeba sprawdzić.

- Dobrze. Bardzo dobrze - na twarz Cepryńskiego powrócił uśmiech. - Przeprowadzimy mały eksperyment.

- Wezwiemy Sójkę?

- Na razie skontaktujemy się z kapitanem Nowackim. Może dowiemy się szczegółów, o których nie mówił na odprawie.

Po chwili Nowacki wszedł do gabinetu.

- Pewnie chcesz mi wlepić jakąś nową sprawę - powiedział, ściskając dłonie obu oficerów. - Nie uda ci się. Mam teraz na głowie tego nieboszczyka z Wisły.

- Właśnie ten nieboszczyk nas interesuje.

- To może go przejmiesz ode mnie?

- Niewykluczone, że zrobię ci tę przyjemność, ale najpierw' powiedz, co wiesz jeszcze na ten temat?

- Prawdę mówiąc niewiele ponad to, co powiedziałem u starego. Naturalnie przeprowadziłem wywiad środowiskowy. Dziubkiewicz to były student ASP. Studiował dwa lata i został

usunięty z Akademii za notoryczne nieuczęszczanie na wykłady i zajęcia. Już wcześniej poszedł na tak zwane łatwe życie. Był karany za stręczycielstwo, podejrzany o morderstwo prostytutki, ale został zwolniony z braku dowodów, a śledztwo umorzono.

- Nie wiesz przypadkiem, w jaki sposób została zamordowana ta prostytutka?

- Nie interesowałem się tym specjalnie, ale teczka sprawy jest u mnie.

- Bądź tak dobry i wypożycz ją. Podjąłeś już jakieś czynności śledcze?

- Jasne! Dziubkiewicz w chwili śmierci był prawdopodobnie zdrowo pijany. Dwaj wywiadowcy, uzbrojeni w jego zdjęcie, spenetrują dziś wieczorem wszystkie nocne knajpy Żoliborza, Starego Miasta, Powiśla i Pragi. Może na coś wpadniemy?

- Dobra! Jak będziesz już znał wyniki, powiadom mnie. Może rzeczywiście przejmę od ciebie to śledztwo.

- A czemu tak się zainteresowałeś Dziubkiewiczem? Wiem, że prowadzisz sprawę morderstwa żony tego chirurga. Czyżby jakieś skojarzenia?

- Właśnie. Pewne fakty się kojarzą, ale jeszcze przedwcześnie byłoby o tym mówić. Dziękuję na razie.

- Zaraz ci prześlę teczkę tej prostytutki - powiedział Nowacki wychodząc.

Niebawem teczka interesująca obu oficerów znalazła się na biurku Cepryńskiego. Dokument z sekcji zwłok stwierdził, że prostytutka poniosła śmierć na miejscu na skutek ciosu w serce zadanego ostrym narzędziem.

- Cios w serce... - głośno myślał Cepryński. - Śmierć natychmiastowa, a więc również cios świadczący o znajomości anatomii. Wszystko się zgadza. Znajomość anatomii człowieka wynosi się nie tylko z Akademii Medycznej. Z Akademii Sztuk Pięknych również.

- Obywatelu majorze, może nareszcie uchwyciliśmy nitkę, która doprowadzi nas do kłębka!...

- Dobrze. Bardzo dobrze. - Cepryński zatarł ręce. - Grunt, że coś się dzieje. W każdym razie należy wam się pochwała, że

nie zlekceważyliście ASP. Macie tu praktyczną naukę, jak drobiazgowo trzeba prowadzić dochodzenie, jak nie można niczego pomijać lub bagatelizować.

Cepryński przerzucił kilka papierków w teczce opatrzonej kryptonimem „21.50”, a oczy jego błyszczały zadowoleniem, gdy zaproponował:

- Wydaje mi się, że nie zaszkodzi nam herbatka. Zajmijcie się tym, poruczniku, a ja tymczasem przygotuję taśmy z wczorajszych rozmów telefonicznych pana Sójki. Posłuchamy sobie...

I znowu, na zasadzie prawa serii, oczekiwała ich niespodzianka. Rozmów było zaledwie trzy, ale ostatnia niewątpliwie zasługiwała na uwagę.

- Halo - rozległ się z taśmy głos Sójki.

- Zenek? - zapytał głos kobiety.

- Tak. Czego chcesz? Miałaś nie dzwonić.

- Musiałam...

- Skąd dzwonisz? Niewyraźnie słyszę.

- Z automatu w szpitalu.

- Idiotka! Odłóż słuchawkę i na razie nie dzwoń. Jak przyjdzie pora, skontaktujemy się.

Rozmowa była skończona.

Cepryński cofnął taśmę. Przesłuchali ją jeszcze raz i drugi.

- No, i proszę! - odezwał się Cepryński. - Nareszcie coś ciekawego. Co sądzicie o tej rozmowie?

- Sójka wyraźnie był zły i spłoszony. Chciał jak najszybciej skończyć rozmowę. Poza tym, dzwonił ktoś ze szpitala...

- A no właśnie! Kobieta ze szpitala. Z jakiego szpitala? Tego się, niestety, nie dowiemy. Co za kobieta? Pacjentka? Lekarka? Pielęgniarka?

- Kubis?

- A może Tarkowska? Głos był zniekształcony. Jak przeważnie głos z automatu.

- Co robimy, obywatelu majorze? - zapytał Kulik, a w jego głosie brzmiało zniecierpliwienie.

- Czuję, że roznosi was chęć działania - skostatował Cepryński. - Pewnie chcielibyście natychmiast zamknąć

Kubis, Tarkowską, Sójkę, a gdyby się dało, to i Dziubkiewicza. A my na razie zachowamy spokój. Spokój to podstawowa zaleta oficera śledczego. Przybywa nam faktów, wszystko wskazuje na to, że wreszcie ruszyliśmy z miejsca. Póki co jednak, zaczekamy na jutrzejsze rewelacje kapitana Nowackiego.

Nazajutrz z samego rana kapitan Nowacki przekazał Cepryńskiemu wyniki dochodzenia uzyskane przez wywiadowców. W restauracji „Retman” na fotografii Dziubkiewicza rozpoznano gościa, który bawił tam krytycznej nocy. Poznała go kelnerka, do której się dostawiał, i szatniarz. Według oświadczenia kelnerki Dziubkiewicz był w towarzystwie drugiego mężczyzny, którego rysopis odpowiadał rysopisowi Sójki. Kelnerka twierdziła, że kłócili się. Dziubkiewicz był napastliwy, podnosił głos, walił pięścią w stół. Tamten drugi uspokajał go. Sam pił niewiele, za to stale pilnował, by kieliszek Dziubkiewicza był pełny. Według relacji szatniarza opuścili restaurację jako jedni z ostatnich. Mniej więcej o pierwszej. Dziubkiewicz ledwo się trzymał na nogach, tamten drugi musiał go prowadzić.

- Więc jak? Przejmujesz dochodzenie? - zapytał kapitan Nowacki.

- Przeprowadzę jeszcze jeden eksperyment i wtedy zobaczymy. Będę potrzebował zdjęcie Dziubkiewicza - odparł Cepryński, po czym polecił Kulikowi: - Weźmiecie zdjęcie i powtórzycie eksperyment z fotografiami Niekrasza i Kubis. Zwijajcie się, jak możecie najszybciej !

I Kulik, uzbrojony w fotografię Dziubkiewicza, znowu znalazł się w Szczęśliwicach. Tym razem nie miał szczęścia. „Jego” drużyna konduktorska była w drodze. Ale nazajutrz rano miała powrócić o piątej z minutami. Nie zwlekając więc, pierwszym pociągiem, udał się Kulik do Konina. Odnalazł ludzi, z którymi kontaktował się przed kilku dniami. Oglądali fotografię Dziubkiewicza i kręcili głowami. Nie przypominali

sobie nikogo podobnego. Dopiero kasjer, pełniący dyżur tamtej nocy, gdy spojrział na fotografię, zawołał:

- Ależ tak! Przypominam sobie tego faceta! Tuż przed odjazdem warszawskiego pociągu przepchnął się przed kolejkę, że niby koniecznie musi złapać ten pociąg. Tak się spieszył, że nie wziął reszty ze stu złotych. Jeszcze podróżni za nim wołali, ale on popędził na peron.

Kulik poczuł pełną satysfakcję. Nie na próżno studiował rozkład jazdy. Jego teoria zaczynała się sprawdzać. Co prawda nie Niekrasz wykonywał morderstwo, które miało być doskonałe, lecz ktoś inny. Sójka? Najprawdopodobniej. W każdym razie Dziubkiewicz był tamtej nocy w Koninie i pociągiem o pierwszej dwadzieścia siedem odjechał do Warszawy.

Już o piątej rano znalazł się Kulik na Dworcu Centralnym w Warszawie i niecierpliwie przechadzał się po peronie, oczekując przyjazdu pociągu, który prowadziła znajoma drużyna konduktorska. Nadjechał z niewielkim opóźnieniem. Z pierwszego wagonu wysiadła młoda konduktorka.

- O, pan porucznik! - wykrzyknęła, nie kryjąc zdziwienia. - Znowu do nas?

- Do was - potwierdził Kulik, wyciągając z kieszeni fotografię. - Niech pani sobie przypomni. Może ten mężczyzna jechał wówczas szczecińskim pociągiem?

Konduktorka zmarszczyła brwi, długo i uważnie oglądała zdjęcie.

- Chyba tak. W każdym razie bardzo podobny. A zapamiętałam dlatego, że gdy sprawdzałam bilety, on leżał na ławce. Jechał sam w przedziale drugiej klasy. Zwróciłam mu uwagę, by zdjął buty albo podłożył pod nogi gazetę.

Kulik schował fotografię.

- I nic pani nie zauważyła w jego zachowaniu?

- Nie. Chyba tylko, że robił wrażenie podpitego. W przedziale czuć było wódkę.

Jak na skrzydłach popędził Kulik do komendy. Było jeszcze wcześniej. Nie mógł wprost doczekać się godziny ósmej. Gdy tylko zjawił się Cepryński, porucznik, nie czekając aż się

rozbierze, złożył mu meldunek.

- Tak przypuszczałem - odparł Cepryński. - A zatem będziemy finiszować. Zawiadomcie kapitana Nowackiego, że przejmujemy sprawę Dziubkiewicza. I powiedzcie mu, że to morderca Marty Niekrasz.

Gdy Kulik wyszedł, zagłębił się w materiałach sprawy. Niewątpliwie Dziubkiewicz był mordercą. Inspiratorem najprawdopodobniej Sójka. Wiedział, że Niekraszowa zabiera w podróż drogocenną broszkę. Sam jej doradził, jak najlepiej przeszmuglować ją przez kontrolę celną, czyli wiedział, gdzie jej szukać. Wpadł na pomysł z przesiadką z pociągu na pociąg w Koninie. A Kulik to rozszyfrował. Sprytny chłopak, to był prawdziwy majstersztyk! - z sympatią pomyślał o młodym oficerze. Sójka nie chciał ryzykować. Wiedział z góry, że śledztwo musi wykryć jego kontakty z Martą Niekrasz. Sprokuro- wał sobie niepodważalne alibi i przygotował się psychicznie na wezwanie z milicji. Ale wezwanie w charakterze świadka. A do brudnej roboty najął dawnego kolegę ze studiów, który stoczył się już zupełnie na dno. Tak, na pewno tak było.

Ale było i coś, co psuło Cepryńskiemu naszkicowany obraz. Kobiety telefon ze szpitala. Kto telefonował? Kubis, Tarkowska, jeszcze ktoś inny? I to zdenerwowanie w głosie Sójki, gdy odbierał telefon. Dziwny zbieg okoliczności. Cepryński wyczuwał, że coś się kryje za tym telefonem. Może wszystko przebiegało niezupełnie tak, jak sobie wykoncypował?

- Poruczniku - powiedział do Kulika, gdy ten wrócił po rozmowie z kapitanem Nowackim - chciałbym jak najszybciej ujrzeć tu jeszcze raz pana Zenona Sójkę. Musimy dowiedzieć się czegoś bliższego na temat znajomości pana Sójki z Dziubkiewiczem. A może Sójka zna również Jolantę Kubis?

- Tak jest! - Kulik obrócił się na pięcie i wyszedł wydać polecenie.

Gdy po niespełna godzinie Zenon Sójka zajął krzeselko przed biurkiem Cepryńskiego, wydawał się zupełnie spokojny i opanowany.

- Świadek studiował historię sztuki na Uniwersytecie Warszawskim, prawda? - zapytał Cepryński.

- Tak. Ukończyłem ten wydział.

- A przedtem?

Przez twarz Sójki przebiegł ledwo dostrzegalny wyraz niepokoju. Oczy stały się czujne.

- Przedtem? - powtórzył. - Przedtem studiowałem krótko na ASP, ale szybko przekonałem się, że nie mam tam czego szukać i przenieśliśmy się na uniwersytet.

- A może świadek pamięta kolegów, z którymi studiował na ASP?

- Kolegów było wielu. Już nie bardzo pamiętam...

- Z nikim z nich nie utrzymywał świadek kontaktów?

- Raczej nie...

- A z Kazimierzem Dziubkiewiczem?

Sójka wybornie panował nad sobą.

- Z Kazimierzem? Spotykaliście się czasami.

- Czasami? To znaczy?

- Bardzo rzadko. Przypadkowo. Na ulicy...

- A kiedy spotkaliście się ostatnio?

- Nawet niedawno. Spotkałem Kazia na ulicy i wstąpiliśmy na jednego.

- Gdzie?

- Do „Retmana”. To taka knajpa na Powiślu.

- I co dalej?

- Zasiadaliśmy się. Miałem ochotę wypić, Kazio też był nie od tego... Wspominaliśmy stare czasy.

- Kazimierz Dziubkiewicz nie żyje - powiedział nagle Cepryński, pilnie obserwując Sójkę.

Ten zrobił wielkie oczy, ale w jego zdziwieniu było coś nieszczerego.

- Niemożliwe! - wykrzyknął. - Gdy go zegnałem, był zupełnie zdrowy. Co mu się stało? Serce?...

- Jak to było z tym pożegnaniem? - nie odpowiedział Cepryński. - Kiedy wyszliście z knajpy i tak dalej. Tylko szczegółowo, z detalami. Dziubkiewicz został zamordowany wkrótce po opuszczeniu restauracji.

- Jezus, Maria! - zawołał Sójka. - Nie mam z tym nic wspólnego! Serdecznie lubiłem Kazia...

- Ale jakoś nie mógł go sobie świadek początkowo przypomnieć.

- Och, po prostu nie kojarzyłem go już ze starą budą. To dawne czasy...

- No więc, do rzeczy. Jak to było z tym pożegnaniem?

Sójka głośno przełknął ślinę. Mimo pozornego opanowania, ze spojrzenia, z tonu głosu przebijał utajony niepokój.

- Zwyczajnie, panie majorze. Wyszliśmy późno...

- Która była godzina? - przerwał Cepryński.

- Nie patrzyłem na zegarek. Kazio się zalał, miałem z nim wystarczająco dużo kłopotu, ja też miałem w czubie. Chciałem go odwieźć taksówką, ale uparł się, że pójdzie piechotą. Nie mogłem go przekonać, pan wie, jak to jest z uporem pijanego. Wsiadłem więc do taksówki, a Kazio poszedł... Panie majorze! Gdybym przewidział, że idzie po swoją śmierć, nigdy bym go samego nie zostawił!

- Pamięta świadek numer taksówki?

- Czy ktokolwiek wsiadając do taksówki zapamiętuje jej numer? Tym bardziej ktoś na rauszu.

- Więc pożegnał się świadek z Dziubkiewiczem i pojechał do domu, tak?

- Tak, pojechałem do domu.

Zapadło krótkie milczenie. Sójce wracał spokój.

- Czy świadek zna doktor Tarkowską?

Sójka zastanowił się chwilę.

- Chyba tak, ale tylko przelotnie. Spotkałem ją ze dwa, trzy razy w towarzystwie pani Niekrasz.

- W jakich okolicznościach?

- Ze dwa razy była z panią Niekrasz w naszym sklepie, a raz spotkałem ją u pani Niekrasz.

- Świadek bywał w domu Niekraszów?

- Nie można tego nazwać bywaniem. Byłem u pani Niekrasz kilkakrotnie. Prosiła, żebym rzucił okiem fachowca na jakieś tam starocie.

- Co świadka łączy z Jolantą Kubis? - szybko zapytał

Cepryński.

Przez twarz Sójki przeleciał ledwo dostrzegalny skurcz.

- Jolanta... przepraszam, jak nazwisko?

- Jolanta Kubis - powtórzył Cepryński. -1 lepiej niech świadek nie kręci, a mówi prawdę. To może później być policzone na korzyść świadka.

- Nie rozumiem, o czym pan major mówi. Pierwszy raz słyszę to nazwisko - stwierdził stanowczo Sójka.

Przesłuchanie było skończone. Gdy Sójka wyszedł, odezwał się Kulik:

- Twarda sztuka! Trudno nam będzie cokolwiek udowodnić.

- Tak - zgodził się Cepryński. - Trudno będzie, ale udowodnimy. Mam głębokie przekonanie, że to on wszystko zaplanował i potem rozprawił się z Dziubkiewi- czem.

- Ja bym, obywatelu majorze, przeprowadził drobiazgową rewizję u Sójki. Gdy znajdziemy broszkę, będzie niezbity dowód - zaproponował Kulik.

- Wolnego, poruczniku, wolnego! - Cepryński ostudził zapal Kulika. - Rewizja może nic nie dać. Nie wiemy przecież, gdzie ukrył broszkę. A bez broszki, bez dowodów nie udowodnimy udziału i inspiracji w morderstwie Niekraszowej, nie mówiąc już o pozbyciu się współnika. Na razie, poruczniku, trzeba załatwić trzy sprawy: zredagować komunikat do prasy, radia i telewizji, że prosimy o zgłoszenie się kierowcy taksówki, który krytycznej nocy około pierwszej odwoził z postoju przed restauracją „Retman” samotnego mężczyznę na Nowe Miasto. To raz. Dwa: zaprosić do nas Jolantę Kubis i to jak najszybciej. Trzy: uzyskać nakaz rewizji u Jolanty Kubis.

- U Kubis? - zdziwił się Kulik.

- Tak, u niej. Może właśnie u niej znajdziemy coś, co nas zainteresuje. Ciągłe mnie dręczy ten telefon ze szpitala do Sójki...

- Myślicie, że to dzwoniła Jolanta?

- Jestem skłonny tak przypuszczać. Idę do prokuratury. Czuję, że Ostrowski znów będzie się upierał z nakazem rewizji.

Ale wbrew obawom zdobycie nakazu rewizji poszło

nadspodziewanie łatwo.

- Chciałem panu powiedzieć coś, co niewątpliwie sprawi panu przyjemność - zaczął rozmowę Cepryński.

- Komplement? - Ostrowski udał zdziwienie.

- Niezupełnie. Otóż, panie prokuratorze, szef nie zmyje panu głowy za podsłuch u Sójki.

I wręczył Ostrowskiemu kartkę, na której była przepisana treść podsłuchanej rozmowy.

- Proszę zauważyć, że telefon był ze szpitala - podjął Cepryński. - Jestem przekonany, że telefonowała Kubis. Co prawda Sójka, gdy przesłuchiwałem go dziś rano i zniemacka strzeliłem pytaniem, czy zna Jolantę, kategorycznie zaprzeczył, ale jednak wyraźnie się zaniepokoił. Gdyby się okazało, że ta dwójka nie jest sobie obca, gdybyśmy ustalili, co ich łączy, należałoby całkiem inaczej spojrzeć na sprawę Marty Niekrasz.

Ostrowski słuchał z żywym zainteresowaniem.

- Więc co pan obecnie zamierza? - zapytał.

- Przesłuchać Jolantę Kubis na okoliczność znajomości z Sójką. A jeśli zaprzeczy, przeprowadzić u niej rewizję.

- U Kubis? - Ostrowski zdziwił się, podobnie jak Kulik. - Czego, u licha, będzie pan u niej szukał?

- Dowodu, że jednak się znają. Może jakaś pocztówka, może list, może fotografia?... Wszystkie kobiety, panie prokuratorze, są w gruncie rzeczy sentymentalne i ubóstwiają przechowywać pamiątki po swych sympatiach, flirtach, romantycznych przygodach. Jeśli tych dwoje coś łączyło, prędzej znajdziemy jakiś ślad u Jolanty niż u Sójki. Dlatego proszę o nakaz rewizji u Jolanty Kubis.

Ostrowski nie namyślał się długo.

- Zgoda - oświadczył i wypełnił blankiet.

- Dziękuję - Cepryński mocno uściskał dłoń prokuratora - jestem pewien, że zbliżamy się wreszcie do końca.

Niekrasz podjął już normalną pracę w szpitalu. I mimo że ciągle jeszcze przeżywał ciężkie przejścia ostatnich dni i przy pomocy adwokata regulował sprawy spadkowe, jednocześnie pławił się w szczęściu pożycia z piękną Jolantą. Prawdę powiedziawszy cały dramat i koszmar, które przeżył, dla niego miały pomyślny finał. Był wolny i naprawdę niezależny finansowo. Wręcz bogaty. Mógł ułożyć sobie na nowo życie wspólnie z Jolantą. Niepokoił się wprawdzie dużą różnicą wieku między nimi, ale ten niepokój nawiedzał go coraz rzadziej, pod wpływem uczucia i uległości, które na każdym kroku okazywała mu Jola.

A Jolanta, choć oficjalnie dzieliła jeszcze z koleżanką wynajętą kawalerkę, faktycznie mieszkała u niego. Przejęła w swoje ręce władzę w jego domu, z czym zdawała się godzić nawet chimeryczna pani Leokadia Brysiak, wykonując bez szemrania dyspozycje dziewczyny. Tak więc życie domowe Niekrasza wracało do normy - tylko rolę Marty przejęła Jolanta.

Okazała się dobrą, zaradną gospodynią, starała się odgadywać gusty Niekrasza i dogadzać mu, a co najbardziej go zaskakiwało, odkrył w niej domatorkę. Nie ciągnęła go, jak dawniej, do kawiarni i nocnych lokali, do kina czy teatru. Gdy pewnego dnia zaproponował, żeby poszli gdzieś rozerwać się trochę, odpowiedziała:

- Czy nie przyjemniej w domu? Zjemy kolację, obejrzymy program w telewizji. Nie lubię tłumy, chcę cię mieć tylko dla siebie.

Gdy po dniu wypełnionym pracą był w domu, przy niej, gdy pieścił ją, uległą i oddaną, zapominał o wszystkim. Wracając raz do domu wstąpił do jubлера i kupił jej ciężką złotą bransoletę, podobną do tej, którą kiedyś oglądali razem w witrynie sklepu i która wzbudziła zachwyty Jolanty. Nie mógł sobie wówczas pozwolić na taki wydatek. Na widok cennego prezentu roześmiały się jej oczy, ale jednocześnie powiedziała z wyrzutem:

- Jerzy, to musi kosztować kupę pieniędzy! Po co robić takie wydatki!?

- Zapominasz, kochanie, że jesteśmy bogaci.

- Jesteśmy? - podjęła Jolanta i przywarła do niego całym ciałem. - Jerzy! Kiedy się ze mną ożenisz?

- Miła moja, dla przyzwoitości musi upłynąć trochę czasu. A poza tym pomyśl - na upartego mogłabyś być moją córką. Co będzie za dziesięć lat? Ty będziesz nadal młodą, piękną kobietą, a ja starym sześćdziesięcioletnim dziadem. Co będzie wtedy?

- Znowu ta twoja obsesja. Nie chcę o niej słyszeć! Jesteś wspaniałym mężczyzną, przeskoczysz niejednego osiemnastolatka. Na pewno jeszcze długo, długo zachowasz młodość. Kocham cię, Jerzy, i tylko to się liczy!...

Tego dnia w szpitalu, między jedną operacją a drugą, poproszono Niekrasza do telefonu. Dzwoniła Jolanta.

- Wzywają mnie znowu na milicję. Nie wiem, kiedy wrócę do domu, więc się nie denerwuj - oznajmiła.

- Po co cię wzywają, czego jeszcze chcą? Myślałam, że już nam dadzą spokój. Na pewno nic ważnego. Będę na ciebie czekał.

Zjawiając się w gabinecie Cepryńskiego, Jolanta przyjęła metodę ataku.

- Nie rozumiem, po co mnie znowu odrywacie od pracy - oświadczyła od progu. - Jestem przekonana, że oprócz tego, co już powiedziałam, niczego się ode mnie nie dowiecie.

Usiadła przy biurku, zakładając nogę na nogę. Krótka spódniczka odsłoniła jej krągłe uda.

Ładna, bestia! - mimowolnie pomyślał Kulik. Natomiast na Cepryńskim ta wyraźna demonstracja nie zrobiła żadnego wrażenia.

- Mogę pani oświadczyć tylko jedno - powiedział. - Nie po to panią wzywamy, by podziwiać pani nogi.

Jolanta pokryła uśmiechem wyraźne zmieszanie, opuściła jednak nogę i obciągnęła kusą spódniczkę.

- Pragniemy usłyszeć odpowiedź na jedno pytanie - kontynuował Cepryński. - Czy pani zna Zenona Sójkę?

Urodziwa twarz ani drgnęła.

- Mam wielu znajomych - odparła - ale takiego sobie nie

przypominam. Nie. Nie znam żadnego Zenona Sójki.

- Na pewno?

- Już powiedziałam. Nie znam.

- No, cóż. Wobec tego proszę włożyć płaszczyk i udamy się do pani z małą wizytą. Oto nakaz rewizji - okazał Jolancie dokument.

- Rewizja? U mnie? Ależ to śmieszne! Nic nie rozumiem, niczego nie znajdziecie.

- Może jednak? Jedźmy.

Koleżanka, z którą Jolanta wspólnie zajmowała kawalerkę, była w pracy. Cepryński poprosił dozorczynię, by asystowała przy rewizji. Dwóch funkcjonariuszy sprawnie przeszukiwało małe pomieszczenie, starannie odkładając wszystko na swoje miejsce. Jolanta z'wyniosłą miną usiadła na wersalce i ostentacyjnie zaczęła przeglądać jakiś tygodnik, demonstrując kompletny brak zainteresowania rewizją. Po trzech godzinach rewizja była skończona.

- I co, panie majorze? - spytała Jolanta. - Stracony trud. Przykro mi, że panowie niczego nie znaleźli.

- Jest pani pewna? - odpowiedział pytaniem Cepryński.

- A cóż panowie mogli znaleźć?

- To!

Cepryński trzymał w ręce małą fotografię.

- Była w jakiejś książce. Poznaje pani?

Jolanta nie ukrywała zaskoczenia.

- Ach! - zawołała. - Słowo daję! Pan mnie pytał, czy znam Zenona Sójkę. Teraz dopiero sobie przypomniałam, ta fotografia... No, przecież! Poznałam go chyba przed dwoma laty. W górach... A może nad morzem?... Doprawdy już nie pamiętam szczegółów, to była taka wakacyjna znajomość. Nawet nie wiedziałam, że ma takie zabawne nazwisko. Sójka.

- Więc jednak - skostatował Cepryński.

- Cóż pan chce? Jak się ma tylu znajomych, nie można wszystkich zapamiętać. Wie pan, jak to bywa na wczasach. Większe towarzystwo, wspólna plaża, wspólne wycieczki, dansingi. A potem wszyscy się rozjeżdżają i zapominają. Takie przelotne znajomości...

- Dedykacja na odwrocie świadczy o czymś innym. - Cepyński przeczytał: - „Ukochanej Joli na pamiątkę mile spędzonych chwil - Zenek”. I data. Zgadza się. Sprzed dwóch lat.

- Ach, panie majorze, czego to młodzi ludzie nie wypisują na zdjęciach! Może się we mnie podkochiwał? Na ogół nie narzekam na brak powodzenia.

- Nie wątpię. A co było dalej, po wspólnych wakacjach?

- A cóż mogło być? Straciliśmy się z oczu. Nie wiem, czy poznałabym dzisiaj na ulicy tego człowieka.

Cepyński poczuł się nieco zbity z pantałyku. Kamienny spokój Jolanty, lekki ton wyjaśnień, ani śladu zdenerwowania, wszystko to było zupełnie naturalne, a odpowiedzi nie pozbawione logiki. „Jeśli gra - pomyślał - to marnuje się wielki talent sceniczny”.

- No, cóż. Na razie zatrzymamy zdjęcie pana Zenona, a panią poprosimy jeszcze do komendy. Powtórzy pani to wszystko do protokołu. Sierżancie - Cepyński zwrócił się do jednego z funkcjonariuszy - odwiedźcie panią do komendy. My z porucznikiem jedziemy za wami.

Gdy wsiedli obaj do służbowego fiata, Cepyński zatarł ręce.

- No, poruczniku, wszystko wskazuje, że zbliżamy się do mety. Rola Sójki nie ulega dla nas wątpliwości, ale jaką rolę odgrywała w tym Kubis? Bo teraz możemy być prawie pewni, że to ona telefonowała do Sójki. Ale to twarda zawodniczka. Widzieliście, jak kapitałnie zareagowała na okazane jej zdjęcie, jak sprytnie wytłumaczyła pierwsze zaskoczenie?

- A może było tak, jak mówiła? - zauważył Kulik.

- Wyjaśnimy to sobie. I to zaraz.

- Co obywatel major zamierza?

- Przystąpić do finiszu. Wiecie co, poruczniku? Przeprowadzimy małą konfrontację. Pani Jolanta już jest w komendzie, a Sójkę sprowadzimy tam jak najszybciej. Miejmy nadzieję, że któreś z nich pęknie. Osobiście stawiam na pana Zenona.

I drobiazgowo ustalił z Kulikiem szczegóły.

Zenon Sójka, wezwany ponownie do komendy, wyraźnie stracił kontenans. Na próżno starał się ukryć zdenerwowanie i napięcie. Zainteresowanie milicji jego osobą wydawało mu się coraz bardziej podejrzane „Coś chyba wiedzą - rozmyślał gorączkowo - ale co?” Przecież wszystko zostało zaplanowane bezbłędnie. Zrzucenia z mostu Dziubkiewicza nie mogą mu udowodnić. Nikt ich nie widział na moście, nie było żadnego świadka. Na noc z piątego na szósty listopada ma takie alibi, że o lepszym ani marzyć. A jednak coś musiał pokpić. Nerwowo zacierał zwilgotniałe dłonie, tymczasem Cepryński nie spieszył się. Przewracał jakieś papiery na biurku, oglądał dokumenty, milczał. Sójka wiercił się na krześle, zaschło mu w ustach, wreszcie nie wytrzymał i odezwał się:

- Słucham, panie majorze? O co jeszcze chodzi?

- Ach! - Cepryński, jakby przypomniał sobie o obecności Sójki, metodycznie złożył papiery i zapytał: - Więc pan rzeczywiście nie zna Jolanty Kubis?

Czyżby Jolanta coś nawaliła? - przemknęło przez głowę Sójce, a głośno powiedział: - Nie znam, panie majorze.

- Niech pan sobie dobrze przypomni. Szczerze radzę.

Sójkę ogarniało coraz silniejsze zdenerwowanie, nie potrafił powstrzymać drżenia rąk. Mimo to powtórzył:

- Kiedy sobie nie przypominam. Nie znam takiej.

- Ma pan bardzo słabą pamięć, panie Sójka - skostatował Cepryński - będziemy ją musieli panu odświeżyć.

Podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił numer.

- Poruczniku, czekam - powiedział.

Po krótkiej chwili otworzyły się drzwi gabinetu i stanęła w nich Jolanta Kubis. Za nią wszedł Kulik. Jolanta bez zmrużenia oka spojrzała na Sójkę, który na jej widok zerwał się z krzesła. Z twarzy, białej jak papier, odpłynęła mu cała krew. Cepryński wskazał Jolancie wolne krzesło.

- I cóż - zwrócił się do Sójki - dalej pan twierdzi, że nie zna pan Jolanty Kubis?

Sójka, wpatrując się jak zahipnotyzowany w Jolantę, wydał

jakiś nieartykułowany dźwięk.

- Wobec tego skąd znalazło się u pani Kubis to zdjęcie z dedykacją? - Cepryński rzucił na biurko znaną u Jolanty fotografię.

Zapadło ciężkie milczenie. Przerwał je Sójka. Upiornie blady, mówił z trudem:

- To ja już wszystko powiem... To ona, to ona, ta dziwka!...

W oczach Jolanty, wbitych w Sójkę, malowały się pogarda i nienawiść.

Był już późny wieczór. Zagłębieni w wygodnych fotelach siedzieli we trójkę - Cepryński, Kulik i gospodarz - w gabinecie willi Niekrasza. Willa była pusta, prócz nich nie było nikogo. Na niskim stoliku stał ekspres do kawy, której aromat wypełniał cały pokój, i butelka francuskiego koniaku.

- Dziękuję, panie docencie - przerwał ciszę Cepryński, odbierając z rąk Niekrasza pękaty kieliszek ze złocistym płynem. - Sprawa dobiegła końca. Morderca umknął co prawda sprawiedliwości, ale nie umknął karze, którą i tak sąd niewątpliwie by wymierzył. Natomiast współnicy i inspiratorzy zostali już przekazani prokuraturze.

- Zdrowie pana majora i pana porucznika - przerwał Niekrasz, podnosząc swój kieliszek. - Za wasz sukces.

- Jedynie za spełnienie obowiązku - poprawił go Cepryński.

- Po tym, co pan przeszedł, należą się panu wyjaśnienia z pierwszej ręki. Poznanie mechanizmu całej sprawy i roli poszczególnych osób, choćby nawet miało to być dla pana bolesne i przykre, ostatecznie na pewno wyjdzie panu na dobre.

- Dziękuję, majorze - Niekrasz uśmiechnął się blado.

- Ostatni okres wiele mnie nauczył. Jestem gotów usłyszeć najgorsze.

Ściągnięta i blada twarz Niekrasza, podkrążone oczy, pasmo siwych włosów, którego przed kilkunastu dniami jeszcze nie było, mówiły najlepiej, jak ciężkie przejścia miał

za sobą.

- W początkowej fazie śledztwa i pan znalazł się na liście podejrzanych - podjął Cepryński. - A w pewnym momencie był pan podejrzany numer jeden. Porucznik Kulik nastawał nawet, by przygotować materiały do procesu poszlakowego...

- Przepraszam, panie docencie - zaczerwienił się Kulik - z przyjemnością przyznałem się potem do błędu w rozumowaniu, ale początkowo wszystkie poszlaki były przeciw panu.

- Zdałem sobie z tego sprawę w czasie jednego z przesłuchań - powiedział Niekrasz - i muszę panom wyznać, że byłem przerażony.

- Porucznik ma rację - kontynuował Cepryński. - Poszlaki sprzysięgły się przeciw panu. A pan nie pomógł nam ich rozwiązać. Mogło się wydawać, że dobrowolnie kładzie pan głowę pod topór.

- Myśli pan o tej nieszczęsnej broszce? Cóż, działałem w dobrej intencji, nie zdając sobie sprawy, jaki to był dla panów istotny szczegół.

- Tak istotny, że od tego momentu śledztwo mogło ruszyć we właściwym kierunku. Nie było ono łatwe, dawno już nie miałem do czynienia z tak skomplikowaną sprawą - przyznał Cepryński. - Same koncepcje, domysły, poszlaki, natomiast nic namacalnego, żadnego dowodu. Pomógł trochę, jak to czasem bywa, przypadek. Ale o tym potem, a teraz zacznijmy wszystko od początku...

I Cepryński, pociągnąwszy łyk koniaku, rozpoczął relację.

- Zacznijmy od upalnego lipca przed dwoma laty... Na plaży w Ustce zawarli tego lata znajomość: Jolanta Kubis, świeżo upieczona absolwentka szkoły pielęgniarstwa, i Zenon Sójka, historyk sztuki, rzeczoznawca „Desy”, pośrednik i kombinator. Jolanta, dziewczyna zwracająca uwagę, za którą snuły się tabuny amatorów wczasowej przygody, urzekła urodą Sójkę. Można powiedzieć, że zakochał się od pierwszego wejrzenia. Jolanta nie odtrąciła Sójki. Młody, przystojny, dobrze zbudowany, a co najważniejsze, mieszkał w domu ZAIKS-u. To imponowało Jolancie, która już w

szkole pielęgniarskiej miała właściwie jeden w życiu cel: za wszelką cenę zdobyć pozycję i pieniądze. Zdawała sobie sprawę ze swej urody

- już jako uczennica dostrzegała taksujące ją spojrzenia mężczyzn - postanowiła więc wykorzystać swoje atuty.

W Ustce, w pięknej letniej scenerii, w atmosferze rozleniwienia i relaksu, nawiązał się płomienny romans. Pierwszy w życiu Jolanty, która dotychczas przeżywała jedynie platoniczne i nietrwałe związki ze swymi rówieśnikami.

Krótki pobyt w Ustce dobiegł końca. Sójka wyjechał wcześniej. Jolanta przyjechała do Warszawy po kilku dniach. Nie wróciła już do internatu szkolnego, lecz - jak zostało między nimi ustalone - zjechała wprost do skromnego M-2 swego amanta. Sójka był w siódmym niebie. Romans trwał. Lecz o ile Sójka grzązł coraz głębiej, Jolanta mimo uczucia, jakim niewątpliwie go darzyła, szybko zdała sobie sprawę, że nie jest to związek stwarzający perspektywę realizacji wytkniętego celu.

Niebawem Jolanta rozpoczęła pracę w szpitalu. Zaczęły się normalne obowiązki, późne powroty do domu, nocne dyżury... Sójka szalał. Wyczuwał instynktownie, że Jolanta wymyka mu się z rąk. Coraz częściej i natrętniej proponował małżeństwo. Jolanta przeżywała rozterkę. Sójka, pierwszy mężczyzna w jej życiu, nie był jej obojętny, przeważało jednak uparte dążenie do urządzenia się w życiu, wyrachowanie i cynizm. Tym bardziej, że już wtedy zwróciła uwagę na pana, docencie. A właściwie spostrzegła, że pan się nią wyraźnie interesuje. Nietrudno, pracując w jednej instytucji, dowiedzieć się wszystkiego lub prawie wszystkiego o drugim pracowniku. Dowiedziała się więc Jolanta, że jest pan niezależny finansowo, że jest pan żonaty, ale że pożycie nie układa się najlepiej, że jesteście małżeństwem bezdzietnym. Te interesujące dane uzupełnił Sójka, który już wtedy wszedł w kontakty handlowe z pana małżonką. Opowiadając o pracy i stosunkach w szpitalu, Jolanta wymieniła kiedyś pana nazwisko. Sójka wtajemniczył ją wówczas w hobby pańskiej

żony, stwierdzając jednocześnie, że jest ona niesłuchanie majątną kobietą. Te interesujące dane potwierdzały prawdziwą legendę, w którą obrósł majątek przywieziony przez nią ze Stanów, a którą ze szczegółami opowiedziała Jolancie starsza koleżanka w czasie nudnego nocnego dyżuru.

Jolanta spokojnie oczekiwała na rozwój wypadków i kto wie, czy wtedy już w jej głowie nie zaczął się wykuwać iście szatański plan. Na razie postanowiła, że wygodniej będzie wyprowadzić się od Sójki. Umówiła się z koleżanką ze szpitala, że wynajmą kawalerkę i wspólnie w niej zamieszkają. Szybko zrealizowała swój pomysł i pod pretekstem, że będzie mieszkała bliżej miejsca pracy i będzie jej wygodniej, wyprowadziła się od kochanka. Sójka, ciągle bardzo zakochany, odchodził niemal od zmysłów. Błagał, groził samobójstwem, nic jednak nie wskórał, Jolanta konsekwentnie dążyła do celu. Powiedziała mu, żeby nie był głupi, że go kocha; i po raz pierwszy odsłoniła rąbka tajemnicy. Pobiorą się, to mu przyrzeka, ale niech ma do niej zaufanie i pozwoli jej działać. Czyż mają się pobrać i potem wspólnie klepać biedę? Ma pewien pomysł, jeśli uda się go zrealizować, będą zabezpieczeni do końca życia. Na razie niech o nic nie pyta, tylko zaufa jej. Czyż nie dała mu dowodów swojej miłości? Sójka, który też nie był od tego, by tanim kosztem zabezpieczyć sobie przyszłość, a przy tym wierzył w inteligencję i spryt Jolanty, uspokoił się i pogodził z jej decyzją.

A tymczasem sprawy rozwijały się szybko i po myśli Jolanty.

Miała w szpitalu powodzenie. Za długonogą, śliczną dziewczyną oglądał się niejeden lekarz. Pewien pański młody kolega wręcz proponował jej małżeństwo. Odrzuciła bez wahania propozycję, na którą chętnie przystałaby każda z jej koleżanek. Jolanta czekała na pana.

Przypomina pan sobie, docencie, nocny dyżur w pewną upalną czerwcową noc? Doszło wtedy między wami do pierwszego zbliżenia...

Niekrasz dolał sobie koniaku i wypił jednym haustem.

- Tak - potwierdził. - Oby do tego nigdy nie doszło!

A czując widocznie potrzebę zwierzenia się komuś, mówił dalej:

- Moje życie z Martą nie należało do najlepszych. Odchodziliśmy od siebie coraz bardziej. Nie byłem jednak na tyle silny, by odejść od żony definitywnie. Muszę przyznać ze wstydem, że nie tyle od niej, co od poziomu życia, do którego przywykłem, i niezależności materialnej, którą mi zapewniała. Miewałem już przelotne miłości, ta jednak przerodziła się w coś trwalszego. Gdy teraz spoglądam wstecz, nie wiem, czy to sprawiła uroda Jolanty, czy jej uparte zapewnienia o uczuciu, którym mnie darzy, w każdym razie wydawało mi się, że również ją pokochałem.

Niekrasz zamilkł, a Cepryński, dolewając sobie gorącej kawy, kontynuował:

- Tymczasem Jolanta w rzeczywistości kochała Sójkę. Pan był potrzebny wyłącznie do realizacji jej celów. Sójka niczego się nie domyślał, a Jolanta, ukrywając romans z panem, nie zamierzała go, przynajmniej na razie, w nic wtajemniczać. Tak więc sprytnie rozdzielała swe względy i wolny czas między pana i Sójkę.

Cepryński zamilkł na chwilę, po czym podjął:

- Proszę mi nie mieć za złe, że tak brutalnie i wprost mówię o rzeczach przykrych dla pana, chciałbym jednak, by poznał pan sprawę ze wszystkimi detalami. Będzie to jakby odtrutka.

- Niech pan nie ma skrupułów, majorze. Rozumiem i doceniam pańskie intencje - wtrącił Niekrasz.

- Jolanta szybko zdała sobie sprawę, że udało się jej pana omotać. Coraz też częściej zaczęła wspominać o rozwodzie i poślubieniu jej, urządziła panu nawet sceny. Tymczasem pański wyraźny brak zdecydowania., był jej bardzo na rękę. Gdyby pan rozszedł się z żoną, a cały majątek siłą rzeczy pozostałby przy niej, plan Jolanty rozsypałby się jak domek z kart. Ślub, i owszem, ale wszystko w swoim czasie. Jolanta działała metodycznie, rozważnie, bez pośpiechu. Pragnęła zorganizować przestępstwo doskonałe, niemożliwe do wykrycia. Tymczasem przestępstw doskonałych nie ma.

Dysponujemy coraz lepszą i skuteczniejszą techniką pomocną w ich wykrywaniu, a przy tym, co najważniejsze, przestępca z reguły nie ustrzeże się od popełnienia jakiegoś błędu. Tak więc chociaż plan Jolanty był ułożony nad wyraz przebiegle i inteligentnie, nie udało jej się uniknąć wpadki.

Wreszcie nadszedł cierpliwie oczekiwany moment. Był nim zaplanowany zawczasu przez pana żonę rejs do wybrzeży Zachodniej Afryki. Skąd jednak Jolanta, wiedząc, że statek odpływa ze Szczecina, wiedziała jednocześnie, że jej ofiara uda się do Szczecina nocnym pociągiem i to wagonem zwykłym, nie sypialnym? I w jednym, i w drugim wypadku rolę informatora spełnił pan, panie docencie.

- Istotnie - potwierdził Niekrasz - Marta chorobliwie nie znosiła małych, zamkniętych pomieszczeń. Już sama jazda pociągiem, w normalnym przedziale, była dla niej nieprzyjemnym przeżyciem, cóż dopiero w przedziale wagonu sypialnego, mniejszym i ciasniejszym. Nigdy nie podróżowała slipingiem. Przypominam sobie teraz, że w czasie któregoś tam z kolei wyjazdu, bodajże do Wiednia, Jolanta zdziwiła się, dlaczego Marta nie pojechała sypialnym? Powiedziałem jej wówczas o klaustrofobii, na którą cierpiała moja żona.

- Tak więc dla Jolanty istotny był tylko jeden problem - wrócił do głosu Cepryński. - Czy pana żona wyjedzie nocnym pociągiem? Dowiedziała się o tym na jakiś tydzień przed wyjazdem. Teraz musiała działać szybko. Nadszedł moment, by wtajemniczyć kompletnie zawojowanego Sójkę. Wyjawiała więc swój romans z panem i plan oparty na rozkładzie jazdy pociągów. Wykorzystując słabą o tej porze roku frekwencję pasażerów, zwłaszcza w pociągach nocnych, Sójka miał załatwić Martę Niekrasz między Kutnem a Koninem, upozorować rabunek, spokojnie przesiąść się w Koninie na pociąg jadący do Warszawy i już rano być z powrotem.

Sójka - jak sam zeznaje - najpierw zaniemówił, a potem ogarnęła go wściekłość. „Chcesz moimi rękami - wołał - usunąć przeszkodę stojącą ci na drodze do poślubienia gacha! Taka jest twoja miłość! Precz, nie chcę cię widzieć!” Jolanta, nie tracąc zimnej krwi, uspokoiła rozsierdzonego Sójkę.

Zapewniła go o swym uczuciu i wyjaśniła mu, że to pierwszy i niezbędny etap do ułożenia sobie wspólnego życia. Gdy zostanie żoną docenta Niekrasza, ma już pewien pomysł, jak się go bez- szmerowo pozbyć, a wówczas nic już nie będzie stało na drodze ich szczęścia.

- Więc to była komedia... - wyszeptał Niekrasz.

- Niestety! - potwierdził Cepryński. - Był pan tylko pionkiem, którym należało odpowiednio manipulować, a potem go usunąć. Ale jedźmy dalej. Jolanta puściła wodze fantazji. Będą bogaci, będą wspaniale mieszkać, będą podróżować, on może otworzy sobie z czasem prywatny antykwariat, a ona salon kosmetyczny, o czym zawsze marzyła. Przegadali całą noc i rano plan był gotowy. Zgodnie przystąpili do działania,

Sójka, mały kombinator i kanciarz, łatwo uległ kuszącym wizjom, które tej nocy rozsunęła przed nim Jolanta.

Był jednak na tyle sprytny, że nie chciał osobiście ryzykować. Wiedział, że jego kontakty z pańską żoną wyjdą na jaw w czasie dochodzenia i że, pozorując napad rabunkowy, może być przesłuchiwany nawet w charakterze podejrzanego. Musiał więc tej nocy być w Warszawie i mieć na to wiarygodnych świadków. Wtedy powstała koncepcja wciągnięcia do gry, za sowitą opłatą, Dziubkiewicza. Jolanta chcąc nie chcąc przyznała Sójce rację i zgodziła się z jego propozycją.

Jeszcze tego samego dnia odnalazł Sójka Dziubkiewicza. Nie musiał go długo namawiać. Skusił go perspektywą niespodziewanego zarobku, drobiazgowo opracowanym planem, który gwarantował stosunkowo małe ryzyko, i zaliczką na konto fortuny, która jak mówił, sama im się pcha w ręce. Powiedział Dziubkiewiczowi o broszce, którą będzie miała przy sobie Marta Niekrasz, twierdząc, że z pewnością uzyska za nią pół miliona, czym podzieli się po połowie. A jeśli sprzeda broszkę za granicą, dajmy na to w Wiedniu, gdzie ma kontakty, zarobią drugie tyle. Polecił, by Dziubkiewicz stawił się nazajutrz o pierwszej w salonie „Desy” na Starym Mieście i nie zdradzając, że się znają,

udawał klienta. Wiedział, że między pierwszą a drugą do sklepu wpadnie pańska żona. Rzeczywiście zjawiała się. Sójka natychmiast się nią zajął, a Dziubkiewicz zapamiętał sobie dobrze przyszłą ofiarę. Natomiast Sójka, który wiedział, że pańska żona chce broszkę dobrze sprzedać w RFN lub w Holandii i zabiera ją ze sobą, przestrzegł, by broń Boże nie chowała broszki w torebce. Zdarza się przecież, że celnik zagląda do torebki. Najlepiej, doradził, niech się ubierze na podróż w kostium, a broszkę przypnie pod klapą żakietu. Tak będzie najbezpieczniej. Pańska żona podziękowała za życzliwą radę, mówiąc, że na pewno z niej skorzysta. Tak więc, jak to się mówi, wszystko było zapięte na ostatni guzik. Wypadało tylko spokojnie czekać dnia wyjazdu.

Nie dowiemy się już nigdy szczegółów morderstwa. Zbrodniarz nie żyje, świadków nie było. W każdym razie z zeznań Sójki wiemy, że dał Dziubkiewiczowi karteczkę do Marty Niekrasz, która знаła jego charakter pisma. Na kurteczce Sójka skreślił tylko kilka słów: „Proszę zaufać oddawcy niniejszego. Sprawa b. ważna, dotyczy jaszczurki. Oddany...” i podpis. Możemy tylko domniemywać, że Dziubkiewicz wywabił swoją ofiarę na korytarz przy toalecie, znienacka zadał cios, nieprzytomną wepchnął do toalety, obrabował, na wszelki wypadek zabrał wszystkie dokumenty, aby opóźnić dochodzenie, wysiadł w Koninie, złapał pociąg warszawski i zgodnie z planem wrócił do Warszawy.

Tego samego dnia rano spotkał się z Sójką w rotundzie PKO, oddał mu broszkę, zegarek i bransoletkę. Umówili się, że Sójka musi odczekać pewien czas, nim zajmie się sprzedażą łupu, najlepiej zaś będzie, jeżeli wystąpi o paszport do Austrii i broszkę sprzeda w Wiedniu. Kazał Dziubkiewiczowi spokojnie czekać na wiadomość. Po południu odwiedziła go zdenerwowana Jolanta. Sójka zdał jej relację ze spotkania z Dziubkiewiczem i pokazał zrabowane przedmioty, które nie dawały mu spokoju. Bał się ewentualnej rewizji. Jolanta podjęła się je ukryć. Postanowili przerwać teraz wszelkie kontakty, nawet telefoniczne, i spokojnie czekać, aż wszystko ucichnie, czyli - jak zakładali -

sprawa zostanie odłożona na półkę, jako nie wykryta.

Tymczasem w bezbłędnie, zdawałoby się, ułożonym i zrealizowanym planie zaczęły pojawiać się rysy. Po pierwsze - przedobrzył sprawę Dziubkiewicz. Po co zabrał z torebki Marty Niekrasz wszystkie dokumenty? Opóźnienie ustalenia jej tożsamości w zasadzie nic nie dawało. Wprost przeciwnie - podważało wersję napadu rabunkowego. Po drugie — posłużył się chirurgicznym skalpelem. Znaleźliśmy go zresztą w czasie rewizji przeprowadzonej u Dziubkiewicza. Stary, wyszczerbiony miejscami skalpel, z wżerami po rdzy, ale starannie wyostrzony. Skąd go Dziubkiewicz miał, Bóg raczy wiedzieć. W każdym razie te dwa fakty - zabranie ofierze dokumentów i narzędzie zbrodni, dawały nam wiele do myślenia. Mało tego. W początkowej fazie skierowały śledztwo w kierunku, którego nie przewidziała Jolanta. Nie wiedząc nic jeszcze o drogocennej broszce, wykluczyliśmy rabunek jako motyw przestępstwa. Zainteresowaliśmy się przede wszystkim panem, panie docencie, i Jolantą Kubis. Słowiem Dziubkiewicz, nieświadomie wprowadzie, uczynił wszystko, co było w jego mocy, by podejrzania skierować na was. Jolanta była przerażona i wściekła. Przerażona, gdyż uznała swój plan za tak znakomity, że nie zadbała nawet o stworzenie sobie alibi. Wściekła, bo gdyby doszło do oskarżenia pana, a nie było do tego daleko, i procesu poszlakowego, cała misternie przygotowana intryga spaliłaby na panewce. Jolanta, mimo dużego opanowania, momentami zaczęła tracić zimną krew. Niewybaczalnym błędem był telefon do Sójki. Naprowadził nas na związki łączące tę parę. Tak więc Jolanta przeżywała ciężkie chwile.

Podobnie ciężkie chwile przeżywał Sójka. Jemu znowu coraz bardziej zaczął dokuczać Dziubkiewicz. Prawie codziennie nachodził Sójkę w sklepie, natarczywie domagając się pieniędzy, awanturując się i grożąc. Sytuacja zaczynała być niebezpieczna. Personel sklepu zaczął już zwracać uwagę na dziwnego gościa Sójki. Poza tym kto mógł zaręczyć, że po pijanemu Dziubkiewicz nie chlapnie czegoś? Sójka nie mógł już nastarczyć pieniędzy, a Dziubkiewicz coraz natarczywiej

zaczął się domagać całej doli. To przeważało szalę. Sójka postanowił pozbyć się niebezpiecznego współnika. W restauracji „Retman” doszło do spotkania, którego finał znamy.

I tak, panie docencie - kończył Cepryński - krok po kroku, wiążąc ze sobą fakty, posuwaliśmy się powoli do przodu. Trochę nie przewidzianym przez nas zakończeniem śledztwa była konfrontacja Sójki i Jolanty Kubis. Sójka, coraz bardziej zdenerwowany i wystraszony, na widok swojego zdjęcia znalezionej u Jolanty załamał się i zaczął mówić. Muszę przyznać, że do końca nie podejrzewaliśmy, jaką rolę odegrała w tym Jolanta. To przecież ona była inspiratorką i motorem działania.

Zapadło milczenie, które przerwał Niekrasz.

- Jednego nie rozumiem, panie majorze. Gdzie jest broszka? Przecież przeprowadziliście u Jolanty rewizję.

W oczach Cepryńskiego zamigotały wesołe ogniki.

- Jolanta Kubis jeszcze raz dowiodła swego nieprzeciętnego sprytu. Czy ma pan gdzieś pod ręką jakąś łopatkę lub szpikulec? - zapytał zdziwionego Niekrasza.

- W salonie jest kominek i znajdziemy tam, co trzeba, ale po co to panu?

- Zaraz się pan przekona.

Przeszli do salonu. Cepryński wziął do ręki pogrzebacz i podszedł z nim do pięknej palmy w wielkiej drewnianej donicy. Zaczął delikatnie rozgrzebywać ziemię i po chwili wydobyl z niej plastikowy woreczek, z którego, na oczach zdumionego Niekrasza, wysypał na stolik połyskującą brylantami platynową jaszczurkę, bransoletę i zegarek. Uśmiechnął się szeroko i powiedział:

- Najciemniej bywa zawsze pod latarnią...

Cepryński, zmierzając do komendy, myślał o wczorajszej rozmowie z gospożą Niekraszów. Może więc Niekraszowa miała przy sobie jakąś szczególnie wartościową rzecz, dajmy na to klejnot lub artystyczną miniaturę? Takie rzeczy nie mają teraz ceny na zachodzie. Ktoś się na to połakomił. Ale dlaczego zabił? Dlatego, że Niekraszowa go znała. A zatem był to ktoś z jej środowiska, w każdym razie ktoś, z kim się stykała. „Muszę spotkać się jeszcze raz z Tarkowską – postanowił – może coś będzie wiedziała”.